

OB.SESJA

Nr 1-2
(33-34)/2017
ISSN 2084-1132

WARTO PODRÓŻOWAĆ

W NUMERZE M.IN.:

Wschód-Zachód. Garść refleksji i doświadczeń przywiezionych z Portugalii, Rosji oraz Ukrainy
Na granicach. Od trójstyku do trójstyku
Złota Praga. Od czego zacząć?



SPIS TREŚCI

- 04** „Pomagam mimo wszystko”. Gala wolontariatu (Klaudia Chrapko)
- 06** Konferencja „Nowe media, komunikowanie, społeczeństwo” (Jakub Kowalewicz)
- 06** Klub HDK Studencki Dar Serca - Akcja „Mikołaj” (Anna Osenkowska)
- 07** Zimowy obóz sprawnościowy dla studentów ratownictwa medycznego (Bożena Bujak, Taras Kuzhdeba)
- 07** Mistrzostwa w ergometrze wioślarskim (Bożena Bujak, Taras Kuzhdeba)
- 08** Warsztaty fotografii kreatywnej (Edyta Wilk)
- 09** „Film mnie wybrał”. Wywiad z Małgorzatą Szyszką (Edyta Wilk)
- 10** „Czy w cztery miesiące można zakochać się w Portugalii?” (Piotr Piegza)
- 14** „Odessa, czyli przepych i skromność”. Pejzaże Ukrainy (Edyta Wilk)
- 18** „Petersburskie impresje”. Jak rozumieć drugą stolicę Rosji? (Bartłomiej Abram)
- 23** Złota Praga. Weekend w stolicy Czech (Bożena Bujak, Taras Kuzhdeba)
- 24** Lublin. Wycieczka Akademickiego Koła Turystycznego (Anna Osenkowska)
- 25** „Dziki chillout” w Balnicy. Poza zasięgiem i problemami (Jakub Kowalewicz)
- 26** „Czasem trzeba rzucić wszystko...”. Rozmowa z Włodkiem Waligórskim (Edyta Wilk)
- 28** „Bieszczady na szklanym ekranie”. Dziki południowy wschód (Justyna Borek)
- 30** „Godziny Rektorskie”, czyli studenci w Polskim Radiu Rzeszów (Ester Matusiak)
- 31** Orkiestra Jednej Góry Matragona. „Krótkie podsumowanie długiej historii” (Jakub Kowalewicz)
- 32** Optymizm, muzyka, miłość. Wywiad z Kayah (Piotr Piegza)
- 33** „Od początku do końca”. O winylowym uzależnieniu (Bartłomiej Abram)



ZOOM

w nieparzyste poniedziałki
o godzinie 16:00
sala 208D



OB.SESJA

ISSN 2084-1132 – Magazyn Studencki Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Jana Grodka w Sanoku, ul. Mickiewicza 21, 38-500 Sanok, tel. 13 46 559 65

Wydawca: Naukowe Koło Dziennikarskie „ZOOM”, Opiekun: mgr Andrzej Sroka, Redaktor naczelna: Edyta Wilk, Redaguje zespół: Justyna Borek, Bartłomiej Abram, Jakub Kowalewicz, Piotr Piegza, Estera Matusiak, Klaudia Chrapko, Anna Osenkowska, Bożena Bujak, Taras Kuzhdeba,

Pomoc językowa: dr Anna Chudzik, Pomoc graficzna: mgr Jakub Kinel,

Skład: Bartłomiej Abram, Druk: Hedom Krosno, Nakład: 800 egzemplarzy, Numer zamknięto: 8 marca 2017 r.

POMAGAM MIMO WSZYSTKO

Życzliwe słowa przyjaciół mogą być krótkie i łatwe do wypowiedzenia, ale ich działanie jest naprawdę wielkie.

Ta myśl była mottem X Gali Wolontariusza, która zorganizowana została 5 grudnia 2016 roku z okazji Międzynarodowego Dnia Wolontariusza. Jest to święto tych, którzy pomagają potrzebującym. W 2001 ONZ, aby zwrócić uwagę na to, że wolontariusze są potrzebni, podjęło decyzję o wprowadzeniu tego specjalnego dnia do kalendarza.

Galę zorganizowano w Centrum Sportowo-Dydaktycznym PWSZ w Sanoku. Tym razem zajęli się tym uczniowie II Liceum Ogólnokształcącego im. Marii Skłodowskiej-Curie w Sanoku. Dyrektor szkoły, a jednocześnie gospodarz imprezy Marek Cycoń, rozpoczął swoje przemówienie od wspomnień o początkach wolontariatu w jego liceum. Zwrócił uwagę na to, że często zwykłe słowa i obecność wolontariusza są najważniejsze dla tego, kto potrzebuje pomocy. Nie mogło zabraknąć anegdot Czesławy Kurasz, która opowiadała o tym, jak wyglądały jej początki z sanockim wolontariatem. Mówiła, że „to jej siódme dziecko, które pięknie i nadszpiewanie rośnie, rozwija się”.

To prawda, w Sanoku jest coraz więcej wolontariuszy, a burmistrz Tadeusz Pióro wyraził nadzieję, że ta liczba będzie nadal wzrastać. Stwierdził, że dzięki działalności w wolontariacie można rozwijać własny potencjał, zdobywać cenne i nowe doświadczenia. Gościem uroczystości był także poseł na sejm RP Piotr

Uruski, który odczytał list od europosłanki Elżbiety Łukacijewskiej oraz w imieniu Anny Zalewskiej przypomniał, że rok 2016/2017 jest rokiem wolontariatu. Sam poseł wypowiedział się bardzo ciepło o działalności wolontariuszy, ponieważ sam angażował się w podobne działania w okresie szkolnym.

Po przywitaniu gości wręczono statuetki honorowego wolontariusza Tytuły te trafiły do rąk Joanny Połdiak z II Liceum Ogólnokształcącego w Sanoku i Tomasza Tarnawczyka, dyrektora Społecznej Szkoły Muzycznej II stopnia w Sanoku. Rozstrzygnięto także konkurs literacki „Niepełnosprawni – tacy sami czy inni?” Był on podzielony na dwie kategorie: seniorów i młodzież ponadgimnazjalną. Pierwszą zwyciężczynią została Zdzisława Być, druga laureatka to Maja Wituszyńska.

Podsumowała ona ten konkurs następująco: „Niektórym brakuje pieniędzy, innym miłości, a ludziom niepełnosprawnym zabrakło zdrowia. Nie można ich skreślać tylko dlatego, że inaczej rozumieją, mówią czy się poruszają”.

Nie był to jednak koniec emocji. Wyniki kolejnego konkursu ogłosiła Czesława Kurasz – tym razem była to nagroda dla Wolontariusza Roku. Podobnie jak poprzednio, były dwie kategorie. W pierwszej doceniona została Halina Demańczyk-Szpyrka. Od dziesięciu lat jest wolontariuszką i pomaga osobom starszym. Michał Sitarz, uczeń Zespołu Szkół nr 3 w Sanoku, również został

nagrodzony za swoją działalność dobroczynną. Wielkie wrażenie na wszystkich wywarł fakt, że sam zorganizował zbiórkę pieniędzy na protezę dla kolegi i działał w Ochotniczej Straży Pożarnej. Wszyscy nagrodzeni w konkursach wyjadą na wycieczkę do Brukseli – tę nagrodę ufundowała Elżbieta Łukacijewska.

Część artystyczna gali została przygotowana przez uczniów II Liceum Ogólnokształcącego w Sanoku i zaprzyjaźnione osoby, w tym uczestników Warsztatów Terapii Zajęciowej. Publiczność mogła obejrzeć występy Zespołu Tańca Ludowego, wysłuchać takich talentów jak Michał Matuszewski, który wykonał utwór Anny German *Człowieczy los*, czym poruszył wszystkich słuchaczy. Morał piosenki, że mimo wszystko trzeba się uśmiechać, idealnie wpisywał się w klimat uroczystości. Z kolei Klaudia, uczennica gimnazjum, śpiewała o marzeniach i miłości. Między te występy wplecione były scenki rodzajowe, w których uczniowie wspominali wolontariuszy, którzy już odeszli – św. ks. Zygmunta Gorazdowskiego, bł. Edmunda Bojanowskiego. Nie zabrakło także historii o ludziach, którzy swoją postawą wciąż dają przykład do naśladowania – mówiono o Wandzie Wojtuszewskiej, Annie Czubie, Marii Berdysz czy Czesławie Kurasz.

Pod koniec gali wolontariusze i artyści usłyszeli wiele ciepłych słów i podziękowań. Bo ważne, aby ludzi, którzy chcą pomagać, było jak najwięcej.

Klaudia Chrapko

1 rok, nowe media, reklama, kultura współczesna

www.pwsz-sanok.edu.pl/obsesja



dzięki działalności w wolontariacie można rozwijać własny potencjał, zdobywać cenne i nowe doświadczenia



STUDENCKIE DEBATY O MEDIACH I SPOŁECZEŃSTWIE

16 stycznia o godzinie 10.00 rozpoczęła się Ogólnopolska Studencka Konferencja Naukowa pt. „Nowe media, komunikowanie, społeczeństwo”. Organizatorami było Naukowe Koło Dziennikarskie „Zoom”. Całość odbyła się w galerii budynku D na terenie Państwowej Wyższej Szkoły Zawodowej im. Jana Grodka w Sanoku.

Oficjalnego otwarcia konferencji dokonała Pani Rektor PWSZ w Sanoku dr Elżbieta Cipora, po której do obrad zaprosili opiekunowie naukowcy konferencji, czyli dr Anna Chudzik oraz mgr Andrzej Sroka, którzy to następnie pełnili rolę prowadzących.

Całość podzielona była na trzy sesje trwające po

ok. półtorej godziny. W sesji pierwszej udział wzięli mgr Grzegorz Matyniak (były komendant Policji w Sanoku) oraz mgr Michał Gluzek – doktorant z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Panowie opowiadali o zagrożeniach, jakie czyhają na nas w internecie, takich jak kradzież tożsamości, zjawisko cyberbullingu czy przemoc internetowa z naciskiem na osobę niepełnoletnie.

Sesja druga składała się z wystąpień mgra Marka Stawarczyka, który podjął się tematu rozwoju komunikacji, a co za tym idzie jej wpływu na nasz styl życia. Po nim swoje wystąpienie miała mgr Joanna Kata. Zajęła się ona zagadnieniem komunikacji interpersonalnej współczesnej młodzieży



w wirtualnej przestrzeni. Jako kolejny głos zabrali uczeń sanockiej uczelni, Marcin Poręba, wypowiadając się w zakresie narzędzi jakimi dysponuje społeczeństwo informacyjne oraz ich oddziaływania. Ostatnia prelekcja w tej części konferencji należała do Karoliny Hombek, a jej tematem była telemedycyna.

Trzecią część konferencji rozpoczął Szymon Miłkoś, student Uniwersytetu Jagiellońskiego, ze swoim wystąpieniem traktującym o problemach tożsamości w społeczeństwie informacyjnym. Po nim ponownie swój udział zaznaczyła reprezentacja PWSZ w Sanoku, w składzie: Edyta Wilk, Bartłomiej Abram oraz Jakub Kowalewicz, którzy pochyliłi się nad wybranymi technikami manipulacji, jakimi raczy nas świat reklamy. Kolejnym reprezentantem sanockiej uczelni był Piotr Piegza. Podzielił się ze słuchającymi

swoimi przemyśleniami na temat relacji między obiektywizmem a poprawnością polityczną w dziennikarstwie. Ostatnim było wystąpienie mgra Dawida Jędrzejaka z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, które przybliżyło nam historię pracy zakładowej Olsztyńskich Zakładów Opon Samochodowych.

Nad obsługą konferencji czuwała grupa studentów I roku kierunku Nowe media, reklama, kultura współczesna PWSZ w Sanoku, dbających o serwis kawowy, a także rejestrację audiowizualną wydarzeń. Całość odbyła się bez zakłóceń, zachowując narzucone przez organizatorów ramy czasowe, oraz realizując założony przezeń, zadeklarowany przez prelegentów materiał.

Jakub Kowalewicz

I rok, nowe media, reklama, kultura współczesna



nim maluchy mogą choć na chwilę oderwać się od swojej smutnej rzeczywistości.

HDK Studencki Dar Serca działa od 2014 roku, a jej założycielem jest Zdzisław Wójcik, wiceprezes Polskiego Czerwonego Krzyża – oddziału rejonowego w Jarosławiu. Opiekunką natomiast jest dr Monika Kijowska, pracownik PWSZ w Sanoku. Działalność grupy HDK z roku na rok cieszy się coraz większą popularnością. Wciąż pojawiają się nowe pomysły i każdy z grupy ma wkład w ich realizację.

W zeszłym roku wspólnie zaplanowali akcję „Mikołaj”. W jej ramach zbierane są słodycze w placówkach i miejscach publicznych. Zarówno rok temu,

jak i w tym roku w akcję włączyła się Akademia Małego Żaka PWSZ w Sanoku, Straż Pożarna w Sanoku i w Ustrzykach, Punkt Krwiodawstwa i Krwiolęcznictwa w Sanoku. Słodycze zbierane były do 21 grudnia. Udało się zebrać około czterystu czekolad, część została wręczona 15 grudnia dzieciom z Caritasu w Brzozowie, reszta łakoci będzie dla nich prezentem na Dzień Dziecka.

Nie bądźmy bierni. Razem możemy uczynić dziecięcy świat piękniejszym, choć na ten jeden dzień. Jaki będzie przyszły Mikołaj dla wielu dzieci? To zależy od Ciebie!

Anna Osenkowska

I rok, nowe media, reklama, kultura współczesna

ZIMOWY OBÓZ SPRAWNOŚCIOWY DLA STUDENTÓW RATOWNICTWA MEDYCZNEGO

Studia na naszej uczelni to nie tylko długie wykłady i sucha teoria, ale też – a może głównie – praktyka, podczas której każdy student może sprawdzić swoje umiejętności. Praktyki odbywają studenci na wszystkich kierunkach, a na ratownictwie medycznym są także różne obozy sprawnościowe.

Na początku stycznia tego roku na obozie zimowym przebywali studenci II roku z studiów stacjonarnych i niestacjonarnych; w sumie około 50 osób z ratownictwa medycznego. Jak zwykle obóz odbywał się w Bieszczadach, w miejscowości Bystre. Teren ośrodka rekreacyjno-wypoczynkowego „Bystre” jest bardzo dobrze wyposażony dla potrzeb przeprowadzenia takiego typu obozów: piękna miejscowość otoczona lasami i bliski kontakt z naturą. Dla zajęć z wychowania fizycznego korzystaliśmy z boiska, basenu i wyciągu narciarskiego, który znajduje się w odległości 200 metrów od budynku głównego.

Dzień pierwszy zaczął się od wycisku. Godzina biegania i gra w rugby na śniegu dała nam dobre w kość, ale to nie był koniec, od razu bez przerwy na odpoczynek było pływanie. Po krótkiej przerwie na obiad odbyło się spotkanie organizacyjne, na którym zapoznaliśmy się z planem i regulaminem obozu, a także dowiedzieliśmy się, jakie atrakcje czekają nas w ciągu najbliższych dni. Jeszcze wieczorem podzieliliśmy się na kilkanaście trzyosobowych ekip, w których pracowaliśmy już do końca obozu. Mieliśmy do wykonania różne zadania, a kadra wykładowców sprawdzała i oceniała naszą wiedzę, umiejętności i pracę w zespole.

Dzień drugi zaczął się od ranego biegania na mrozie, od czego

od razu wszyscy się obudzili. Ale to był dopiero początek. Potem wyciągnęliśmy sprzęt narciarski i od razu na stok. Tam podzielono nas na dwie grupy: kto sam zjeżdża, a kogo uczą i obserwują nasi wykładowcy z WF-u. Dla niektórych osób były to „pierwsze kroki” na stoku, co skutkowało wieloma komicznymi sytuacjami, ale po zakończeniu nikt już się nie martwił i z pewnością mógł pochwalić się umiejętnością jazdy na nartach.

Po treningu narciarskim kolejne zajęcia. Każda ekipa miała indywidualne zadanie. Akurat w ten dzień przypadła nam akcja z osobami, które ucierpiały w wyniku upadku z balkonu czy schodów. Blisko północy zostaliśmy zaskoczeni informacją, że w nocy odbędzie się triage (jest to procedura medyczna stosowana w medycynie ratunkowej, umożliwiająca służbom medycznym segregację rannych w wypadku masowym w zależności od stopnia obrażeń oraz rokowania). Oczywiście wszyscy byli przygotowani do takiego wydarzenia, ale nikt nie myślał, że odbędzie się w tak ekstremalnych warunkach (noc i mróz około 26 stopni Celsjusza). Akcja odbyła się w lesie i trwała ponad 3 godziny. Zostaliśmy podzieleni na 2 drużyny, które na zmianę się poszukiwały. Zadanie polegało na tym, żeby znaleźć 24 osoby i ewakuować je z punktu A do punktu B. Ale to nie takie proste. Poszkodowani mieli wskazówki, w jaki sposób się zachowywać: ktoś stał i nie mógł się poruszać, ktoś nie rozmawiał i nie wykonywał poleceń, inny leżał na śniegu i był nieprzytomny. Było to ogromne utrudnienie, ale takie są realia akcji ratunkowych.

Trzeci poranek rozpoczął się od zaliczenia z pływania i jeżdżenia na nartach, co było dla nas

AKADEMICKIE MISTRZOSTWA WOJEWÓDZTWA PODKARPACKIEGO W ERGOMETRZE WIOŚLARSKIM

Ergometr wioślarski to maszyna służąca do ćwiczeń imitujących prawdziwe wiosłowanie na wodzie. Choć wygląda niepozornie, jest jednym z najlepszych sprzętów treningowych dostępnych na siłowni. Ćwiczenia na ergometrze wioślarskim angażują do pracy aż 95% mięśni, między innymi mięśnie brzucha, grzbietu, ramion, nóg, pośladków i klatki piersiowej. Jednocześnie ćwiczenia wymagają szczególnej dbałości o technikę. Każda osoba początkująca, zanim rozpocznie samodzielne wiosłowanie, powinna dokładnie zapoznać się z zasadami treningu. Mimo że sam ruch wydaje się prosty do powtórzenia, tak naprawdę składa się z kilku faz, których kolejność jest bardzo istotna i decyduje o skuteczności ćwiczenia.

Co roku w całej Polsce odbywają się zawody w dyscyplinie ergometru wioślarskiego, a 21 stycznia 2017 roku po raz pierwszy przeprowadzono je także w województwie podkarpackim. Drużyna PWSZ w Sanoku w składzie: Przemysław Mindur, Taras Kuzhdeba, Bożena Bujak, Patrycja Wojtoń, Edyta Wojtowicz spróbowała swoich sił i zajęła 4. miejsce w klasyfikacji drużynowej, a Taras Kuzhdeba zdobył 4. miejsce w kategorii indywidualnej.

Chociaż mogło być lepiej, to nikt z nas się nie smucił. Ba, zostaliśmy zmotywowani do ciężkiej pracy i efekty powinny przyjść w kolejnych zawodach. Zachęcamy także wszystkich do zapisania się do Akademickiego Związku Sportowego.

Bożena Bujak

II rok, ekonomia

Taras Kuzhdeba

II rok, ratownictwo medyczne



zaskoczeniem, ale z dobrym nastawieniem i uśmiechem na twarzy prawie wszyscy sobie poradzili. Później czekał nas ostatni egzamin z medycznych czynności ratunkowych. Później już tylko powrót do domu.

Dopiero po powrocie emocje zaczęły z nas schodzić. W ciągu tych 3 dni odczuliśmy na własnej skórze ekstremalną pogodę, ból, zmęczenie i stres. Jednak nabyliśmy cennych doświadczeń i potrafimy udzielić pomocy w warunkach najbardziej nieoczekiwanych

i niebezpiecznych. Dziękujemy za to naszym wykładowcom – Hubertowi Markowi, Wojciechowi Rogozowi, Krzysztofowi Sośnickiemu, Barbarze Nikody, Mateuszowi Kowalskiemu, bo bez ich pomocy nie dalibyśmy sobie rady. A teraz już z całym plecakiem doświadczenia szykujemy się do nowych wyzwań!

Bożena Bujak

II rok, ekonomia

Taras Kuzhdeba

II rok, ratownictwo medyczne

**DROBNE ŁAKOCIE,
WIELKIE RADOŚCI.
ZESZŁOROCZNA AKCJA
STUDENCKIEGO DARU
SERCA**

Jak cieszą się dzieci podczas wręczenia prezentów – wiedzą najlepiej członkowie 25-osobowego klubu HDK Studencki Dar Serca, którzy od roku organizują akcję „Mikołaj”, polegającą na zbiorze słodyczy dla dzieci ze szpitali i domów dziecka. Dzięki



WARSZTATY FOTOGRAFII KREACYJNEJ

Zorganizowane przez studentów kierunku Nowe media, reklama, kultura współczesna w ramach zaliczenia przedmiotu Animacja kultury w połowie stycznia warsztaty miały niezwykły charakter. Studenci III roku pod opieką dwóch wykładowców: mgr Lucyny Żak i mgra Sławomira Woźniaka – przygotowali zajęcia dla studentów z Uniwersytetu Trzeciego Wieku. Tematyką warsztatów była fotografia kreatywna.

Podczas warsztatów studenci UTW mogli zapoznać się z budową aparatów fotograficznych, podstawami fotografowania, fotografowaniem techniką wysokiego i niskiego klucza, kreowaniem portretu z pomocą rzutników i rekwizytów, podstawami obróbki zdjęć w programie graficznym.

Zarówno dla jednej, jak i drugiej strony było to niesamowite przeżycie. – Dzisiejsze zajęcia to dla nas coś nowego – mówił p. Prezes Stowarzyszenia Sanockiego Uniwersytetu Trzeciego Wieku Andrzej Pańko. – Studenci Trzeciego Wieku

najczęściej ustawiają aparaty na tryb automat. Po dzisiejszym dniu wiemy od kuchni, jak robić zdjęcie, do czego służy światło, co trzeba zrobić, by zdjęcia były ciekawsze, atrakcyjniejsze. Myślę, że było to dla nas świetne poszerzenie wiedzy i zastrzyk inspiracji. Warsztaty przebiegły w bardzo sympatycznej atmosferze, nie było bariery starsi, młodszy. Czuliśmy się tu doskonale! Z chęcią przyjmujemy zaproszenie na następne takie warsztaty.

Studenci nowych mediów, organizując warsztaty, mieli możliwość pokazać

swoje zdolności organizacyjne, kreatywność, umiejętność pracy w grupie. Studenci Uniwersytetu Trzeciego Wieku z chęcią stawali zarówno przed obiektywem aparatu, jak i za nim. Powstało wiele niezwykłych portretów, a wielu uczestników warsztatów zdziwiło się, że tak wspaniale można bawić się, będąc modelem. Co ważne, młodszy i starsi studenci szybko znaleźli ze sobą wspólny język, a ich rozmowy trwały jeszcze długo po skończonych zajęciach.

Edyta Wilk

III rok, nowe media, reklama, kultura współczesna

FILM MNIE WYBRAŁ

Poprzedni semestr był mocno nakręcony – a to za sprawą warsztatów filmowych, które zorganizowano w PWSZ w Sanoku dla studentów i innych osób zainteresowanych pracą z kamerą. Studenci kręcili filmy. W ciągu dwóch dni powstały cztery interesujące etiudy filmowe. Prowadząca warsztaty Małgorzata Szyszka wciągnęła nas w świat dobrych scenariuszy i metod filmowania.

Edyta Wilk: Dlaczego film? Dlaczego ten środek wyrazu, kontaktowania się z widzem? Kiedy był początek?

Małgorzata Szyszka: Mam takie prorocze zdjęcie w swojej kolekcji rodzinnej. To było podczas Komunii Świętej, inne dzieci dostały zegarki, a ja dostałam małą plastikową kamerkę, w której, gdy kręciło się rączką, to przeskakiwały obrazki. To było pierwsze prawdziwe zetknięcie się z kamerą. Całe przyjęcie komunijne nie mogłam oderwać się od kamery, co uwieczniono na zdjęciu. Nie do końca jest tak, że to ja wybrałam kamerę. Skończyłam szkołę teatralną, najpierw Wiedzę o teatrze, potem zdałam egzamin z reżyserii dramatu, ale to nie teatr, a film mnie wybrał. Cały czas prowadzę warsztaty teatralne, reżyseruję spektakle, ale coraz częściej i więcej „filmuję” – jak to mawiał Białoszewski. Często wykorzystuję umiejętności nazwijmy to „teatralne” w filmie i „filmowe” w teatrze. To są dwie różne poetyki, które się przenikają w mojej twórczości. Tak samo

jeżeli chodzi o tematykę, np. zrobiłam spektakl o wybitnym reżyserze filmowym Orsonie Wellesie i film o wybitnym reżyserze teatralnym Jerzym Grotowskim.

EW: Co to znaczy – film mnie wybrał?

MS: Jeszcze jak studiowałam, zrealizowałam z moim Teatrem Przeoczenie spektakl pt. Wystarczy, który zakwalifikował się na Festiwal w Horyńcu i zdobył tam wyróżnienie. W tym samym czasie dostałam zaproszenie do Szkoły Filmowej w Leeds. Stwierdziłam, że grupa sobie świetnie beze mnie poradzi i wybrałam przygodę z filmem. Wtedy to zobaczyłam coś, co wtedy było niespotykane u nas w kraju. W tamtejszej filmówce studiowało wielu dorosłych ludzi – w okolicy trzydziestki, czterdziestki – którzy postanowili zmienić swoje życie i uczyli się, jak robić filmy. To nie tak, że od razu chcieli dostać

Oskara. Zrobili jeden film, potem może drugi. Jedni się w tym odnaleźli, inni nie. Wtedy mi się to bardzo podobało! Byli ode mnie średnio dziesięć, piętnaście lat starsi. Menadżerowie banku, księgowi... Pomyślałam sobie, dlaczego nie! Ja też chcę!

EW: Teraz jest łatwiej i zmienić swoje życie, i robić filmy.

MS: Tak! Technologia bardzo nam to ułatwia, ale też jest więcej różnych szkół, gdzie nie ma ograniczeń wiekowych.

EW: Film jest prostszy do wykonania niż przygotowanie spektaklu?

MS: Tak i nie. Zależy, jak na to patrzymy. To inna forma przekazu, kontaktu z widzem. Jedna i druga wymaga pełnego zaangażowania, by widza pochwyć, oczarować, zaangażować. Teatr jest bardziej kameralny, osobisty, działa na nas bezpośrednio. Rzadko kiedy widz wychodzi z sali teatralnej, nawet jak spektakl jest zły. Zapewne to ze

trud włożony w to, by wypracować jedną wspólną ideę, wzbogaconą o oryginalność każdego ze współtwórców, procentuje często dziełem uniwersalnym, przekraczającym granice

względem drugiego człowieka, który stoi przed nami i próbuje odkryć rąbka tajemnicy. Jeśli chodzi o film, łatwiej jest go po prostu wyłączyć. Nikt się nie obrazi. Aktorzy nie wiedzą, że widz wyszedł z kina lub włączył stop w komputerze.

EW: Małgosiu, pracujesz w większości z młodymi ludźmi. Jakie rady dałabyś licealiście, studentowi, który ma pomysł i chce stanąć za kamerą?

MS: Nie bój się i rób to, czego pragniesz. Bądź wytrwały. Ostatnio pracowałam z wieloma młodymi osobami, które, gdy pojawiały się przeszkody, rezygnowały. Natomiast często pokonywanie przeszkód sprawia, że efekt końcowy nas pozytywnie zaskakuje. Nie od razu wyjdzie nam film godny Hollywood. Moja rola na warsztatach często sprowadza się do mówienia: rób, nie rezygnuj, idź dalej. Często młodzi ludzie nie chcą tego, co zrobili, skonfrontować z widzem.

EW: Efekty pracy chowają do szuflady.

MS: Tak, a szkoda. Osoba, która prowadzi warsztaty, powinna być także coachem, powinna wlać w młode osoby odwagę, by chciały pokazać dzieło światu. Widz może zupełnie inaczej odebrać to, co zrobił artysta. Często o wiele pozytywniej, niż my jako twórcy.

EW: Czego jeszcze uczą warsztaty?

MS: Pracy w grupie. Uczę młodych ludzi współpracy. Znam ludzi, którzy sami potrafią świetnie pisać scenariusze, robić zdjęcia, montować, komponować muzykę. Jednak kiedy oglądamy efekt ich pracy, daleki jest on od doskonałości.

EW: Dlaczego?

MS: Każdy z nas zamyka się w swojej wizji świata i ludzi w nim żyjących. Wydaje się nam, że widzimy i wiemy najlepiej. W trakcie procesu twórczego potrzebni są inni ludzie, by nam tę naszą wizję rozwalić. Wtedy zaczynamy myśleć, kombinować, zadawać inne pytania, próbujemy zrozumieć. Jest to tzw. kreatywna „rozwałka”. Trud włożony w to, by wypracować jedną wspólną ideę, wzbogaconą o oryginalność każdego z współtwórców, procentuje często dziełem uniwersalnym, przekraczającym granice, pełnym energii. Siła grupy jest przeogromna!

EW: Na koniec pytanie o Sanok. Co byś powiedziała ludziom z Sanoka, którzy często mają – ja to tak nazywam – „syndrom małej miejscowości”. Trzeba mieszkac w Warszawie lub Łodzi, by coś osiągnąć?

MS: Bardzo sobie cenię czas spędzony w Sanoku i ludzi, którzy tu ze mną pracowali. To są osoby o ogromnym potencjale twórczym, mające mnóstwo pomysłów, zapału i pozytywnej energii, które potrafią ze sobą współpracować. W dużych miastach ludzie się śpieszą. Często zanim coś złączą, już muszą skończyć. Mają tendencję do zrzucania wszystkiego na prowadzącego. Jeśli czegoś nie umiem, to znaczy, że prowadzący mnie nie nauczył. Wbrew pozorom mieszkanie w małym mieście pomaga! Pokazałam moim znajomym filmowcom efekty naszych spotkań warsztatowych i chcą przyjechać do Sanoka, by tu pracować.

EW: To zapraszamy!



CZY W CZTERY MIESIĄCE MOŻNA ZAKOCHAĆ SIĘ W PORTUGALII?

Pewnie wiecie, że Portugalia to kraj nad oceanem, Portugalczycy jedzą dużo ryb i śpiewają smutną muzykę fado. Na tym wiedza wielu osób o tym niezwykłym kraju się kończy. >>



Niewiele pozostało do końca tej części mojej przygody z Portugalią. Napisałem „tej części”, ponieważ kto raz odwiedził Portugalię, będzie już zawsze tu wracał. Portugalia, kraj na końcu Europy, a może na początku? Zależy z jakiej perspektywy patrzymy. Kiedy we wrześniu przygotowaliśmy się do wyjazdu, mimo przeczytania wielu stron internetowych, nie wiedzieliśmy, co dokładnie nas tam czeka. Rzeczywistość, którą zastaliśmy na miejscu, przerosła nawet nasze wygórowane oczekiwania. Dużym wyzwaniem jest opisanie kilku miesięcy naszego zimowego semestru na dwóch skromnych stronach „Ob.sesji”.

Coimbra, do której przylecieliśmy studiować, była kiedyś stolicą Portugalii.

Teraz jest przede wszystkim miastem uniwersyteckim.

Studenci mają tu większe przywileje niż w Porto czy samej Lizbonie.

Dowodem na to może być trwająca tutaj aż pięć dni Festa das Latas, czyli studenckie Otrzęsiny (w całej Portugalii tylko jeden dzień). Trwająca do samego rana zabawa na ulicach miasta i niezliczona ilość koncertów portugalskich i zagranicznych gwiazd. Potężna ilość dyskotek, klubów i organizacji studenckich udowadnia, że Erasmus w Portugalii jest traktowany niezwykle poważnie. W mieście jest kilka wyższych uczelni, a każda z nich – co ważne dla kieszeni studenta – zapewnia studentom również wyżywienie. Za równowartość około 10 zł można zjeść zupę z bułeczką, kilka drugich dań (do wyboru),

sok pomarańczowy i deser. Obiady są naprawdę smaczne, a możliwość zakupu... wina w studenckiej kantine nikogo nie dziwi. Nie trzeba się też martwić o spalenie zbędnej

ilości kalorii, gdyż Coimbra

leży na wielu wzgórzach, więc spacer po niej jest prawie górską wędrówką.

Jedynym minusem wydaje się być, wbrew naszym wcześniejszym oczekiwaniom, słaby angielski Portugalczyków.

Natomiast nauka języka portugalskiego w tak krótkim okresie jest

zapewne możliwa, ale tylko dla

wybitnie uzdolnionych poliglotów. Na całe szczęście najciekawsze wykłady odbywały się częściowo w języku angielskim, a mieszkanie z grupą portugalskich studentów udowodniło, że w życiu codziennym język nie jest najistotniejszym elementem. Portugalczycy brak znajomości języków nadrabiają niezwykłą wręcz życzliwością. Zapytana o drogę osoba potrafi zmienić

kierunek, w którym szła, i przejść wiele ulic po to, by wskazać nam miejsce, o które pytaliśmy.

W porównaniu do nas mieszkańcy tego kraju są o wiele bardziej bezproblemowi i uśmiechnięci. W związku z tym, że przeważnie dni tutaj są gorące, życie zaczyna się późnym popołudniem i trwa do samego rana. Co ciekawe, uczestnicy tych towarzyskich

sposób nauki. Kilka własnych filmików, tworzenie muzycznych podkładów, tematyczne sesje zdjęciowe, samodzielne stworzenie gazety od pomysłu do wydruku w drukarni, tworzenie blogów i stron internetowych czy prowadzenie telewizyjnej audycji na żywo – to tylko niektóre z naszych zadań. Bezwzględnie wymagane przez wykładowców, przysporzyły nam trochę nerwów, ale też nauczyły wielu rzeczy. Zajęcia są bardzo profesjonalne – Miguel Torga Institute, gdzie studiowaliśmy, posiada własne studio radiowe i telewizyjne. Student ma okazję poznać zasady pracy z kamerami pracującymi live czy też nadzoru programu live w studiu reżyserskim.

spotkań nie mają problemu ze wstaniem do pracy czy na uczelnię.

Oczywiście nie samą zabawą człowiek żyje. Poziom nauki jest w Portugalii bardzo wysoki, a studenci ambitnie podchodzą do zajęć. Wiedzy teoretycznej mieliśmy stosunkowo mało, natomiast zadań praktycznych kilkukrotnie więcej niż w Polsce. Muszę przyznać, że jest to wyjątkowo efektywny

w Europie, wysokich na 2 tysiące metrów górach i starych wioskach, jakby zamrożonych w czasie. Kraj z zamkami, pałacami i klasztorami, które ominęły zniszczenia ostatniej wojny. Są regiony w których ciągle żywe są jeszcze celtyckie czy rzymskie tradycje. Portugalskie miasta mają mnóstwo zabytków wzniesionych jeszcze przez Maurów. To prawie bajkowa kraina, gdzie wino jest najlepsze, a ryby zawsze świeże. Pomarańcze, mandarynki czy oliwki rosną praktycznie wszędzie, tak jak u nas jabłka, a cytrynę do herbaty zrywa się przed domem. To miejsce o kuchni tak smacznej, że wyjeżdżając stąd, trzeba nauczyć się co najmniej kilku przepisów, żeby za nią nie tęsknić. Nigdzie indziej na świecie nie można zjeść takich pysznych pieczonych kasztanów, że aż żal się robi, że nie rosną w naszym klimacie. Wyjeżdżając stąd, jednego można być pewnym, że będzie chciało się u wracać. Sam muszę przyznać, że już przegłądałem ceny wakacyjnych lotów do Algavre słynącego z przepięknych plaż i słonecznej pogody 350 dni w roku.

Podsumowując, jeżeli ktoś zapyta mnie, czy warto jechać do Portugalii, odpowiem mu – STANOWCZO TAK! Stanowczo warto też skorzystać z programu Erasmus i wybrać się gdziekolwiek tam, gdzie zatrzyma nas dopiero granica Unii Europejskiej lub własna wyobraźnia. I choć na wakacje myślę o portugalskich plażach, to kto wie? Może w przyszłym roku akademickim czekają na mnie inne tajemnicze miejsca?

Piotr Piegza

Il rok, nowe media, reklama, kultura współczesna
więcej na: portugalia2017.blogspot.pt

zajęcia są bardzo profesjonalne – Miguel Torga Institute, gdzie studiowaliśmy, posiada własne studio radiowe i telewizyjne. Student ma okazję poznać zasady pracy z kamerami pracującymi live czy też nadzoru programu live w studiu reżyserskim



ODESSA,

CZYLI PRZEPYCH I SKROMNOŚĆ

Ukraina. Wielka i piękna. Ten sąsiedzki kraj jest wart zwiedzenia. Trochę chęci, pogrzebania w Internecie i już tradycyjnie biedny student może pozwolić sobie na podróż wcale nie krótką. Kilkoro studentów z naszej uczelni właśnie w ten sposób znalazło się w Odessie. Jak to było, ile kosztowało i jakie przygody przeżyliśmy? Po kolei. >>



Plac karta

Ukrainę kocham. Uwielbiam jej folklor i życzliwość ludzi. Wareniki, barszcz czerwony i kiszzone liście winorośli. Lubię horylke i czaj. Kawior i ciemny chleb, prawdziwy, bez polepszaczy. Kto pamięta czasy PRL-u również pokocha Ukrainę. Fragmenty tamtej epoki są jeszcze bardzo widoczne i takie sentymentalne osoby jak ja na pewno świetnie poczują się u naszych sąsiadów.

Do Odessy wybraliśmy się oczywiście pociągiem. Plac karta to wagon otwarty. Nie ma przedziałów, wszyscy śpią piętrowo na dość wąskich łóżkach. Można wykupić pościel i wtedy dostaje się świeże poszewki, wyprasowane, zapakowane w woreczek. Pełna higiena i luksus. Wszyscy w pociągu są oczywiście na widoku. Każdy widzi, co ktoś inny je, pije czy jakie piżamki preferuje.

Konduktor chodzi i oferuje herbatę i inne dobra. Herbata kosztuje 7 hrywien, podawana jest w prawdziwych szklankach. Mimo ery smartfonów czy innych fonów, bardzo łatwo nawiązać kontakt z innymi pasażerami. Rozmowy toczą się głośno przynajmniej do północy (jechaliśmy od 20.40 do około 9.00 rano). Jeśli ktoś komuś przeszkadza, po prostu zwraca uwagę i już. Mieliśmy to szczęście, że pociąg był pełen Ukraińców, którzy zmierzali do Odessy kibicować w meczu Ukraina-Finlandia. Od razu poznałam dwóch sąsiadów i po kilku godzinach kaleczenia ukraińskiego i rosyjskiego wiedziałam, ile mają lat,

gdzie pracują, jak mają na imię ich dzieci... Jeden z nich, Andriej, pracował w Polsce i dość dobrze język polski rozumiał, jednak w pewnym momencie i on przy mnie wymiękł.

Cóż, ciężko mi było wytłumaczyć, że podróż do Odessy to dla mnie przygoda życia, spełnianie marzeń, nie wizyta biznesowa. „Młoda” – towarzyska podróż, studentka pielęgniarstwa, dzielnie przysłuchując się naszej rozmowie i wtrącając co nieco chwilami po angielsku, przerywała mi załamując ręce: – Nie tak lirycznie! Prostymi słowami! Inaczej nie zrozumie. Niemniej Andriej rozumiał. Nadał mi przydomek Fox, ze względu na rude włosy. Fajnie brzmią angielskie słowa wypowiedane śpiewnie przez Ukraińców.

A rano... Powiem wam, że można wyspać się na 30 centymetrach szerokości i 150 długości :). Każdy wstał pełen werwy, choć niektórzy zdecydowanie szukali wodopoju. Niemniej podróż przebiegła w radosnej atmosferze.

Kultura wyższa w cenie piwa

Będąc już w Odessie, postanowiliśmy się koniecznie ukulturalnić. Nie powiem, że nie marzyłam o byciu w operze. Jako dziecko słuchałam niczym zaczarowana Bogusława Kaczyńskiego. Marzyłam, że i ja tak kiedyś w tej pięknej sukni z obfitym biustem i głosem, który duszę zmienia jak obrazy Beksińskiego, będę stała i śpiewała... A potem burza oklasków. Jak wiecie, marzenia się spełniają. Suknię mam, ale kiedy ją zakładam przypominam

innym, że gust to indywidualna sprawa. Biust też – mogę oddać komuś połowę. I głos! Mój głos świdruje struny duszy, kiedy przypominam: – Ziemniaki obrane? Lekcje odrobione? Znowu skarpetki pod łóżkiem?! I kiedy chcę, by dzieci coś zrobiły, to straszę ich, że zaczną śpiewać. I śpiewam. A potem jest burza oklasków, kiedy milknę.

Sami widzicie, marzenia się spełniają! I trafiłam do opery – tyle że jako widz. Bilety kupiliśmy po 20 hrywien. Generalnie w operze widać było i przepych, i skromność wymieszane razem. Panie w drogich futrach i staruszki z siwymi włosami upiętymi w kok. Bilety za 20 hrywien były najtańsze, najdroższe oscylowały koło 300. Powiem szczerze, że w sumie dobrze, że wybraliśmy najtańsze. Balkon dawał duże możliwości obserwacji, nie tylko sceny.

Wylądowaliśmy na najwyższym balkonie. Ja z lękiem wysokości, więc zgrzytając zębami, wbiłam się w swoje miejsce i bałam wychylić. Jednak się wychyliłam. Na balkonie niżej był cudowny widok: kilkudziesięciu młodych chłopaków w mundurach! W przerwie okazało

się, że byli tam zupełnie z własnej woli. Nie wiem czemu, ale ciepło mi się zrobiło na sercu, jak tyle młodzieży w operze zobaczyłam.

Takie kwiatki

Pieniądze. Zsumowane koszty na jedną osobę za mieszkanie, pociąg Lwów–Odessa–Lwów wyniosły niecałe 250 zł. Przejazdy pociągiem w granicach kilkudziesięciu kilometrów od Odessy to ok. 20 hrywien.

Przejazd tramwajem 3 hrywny, marszrutką 4–5 hrywien. Co ciekawe, nie ma rozkładów jazdy tramwajów – jeżdżą co 12 minut i taka informacja jest na przystankach. Natomiast pociągi kursują idealnie według rozkładu. Można od nich zegarki nakręcać!

Jedzenie. Pycha! Generalnie tanio. Ceny w centrum Odessy zbliżone do polskich, sieciówki i bary na peryferiach dużo tańsze. Porcja pierogów, barszcz i szklanka soku w „Pызatej Chacie” to 52 hrywny. Za 100 hrywien można się najeść po kokardki.

Jak już wspomniałam – tania **Opera**. Warto ją zobaczyć. **Morze.** Uwielbiam! Na plaży tysiące muszelek, można było garściami zbierać!

Ogród botaniczny. Część z nas to zapaleni poszukiwacze mchów i porostów, więc naturalnie do ogrodu musieliśmy pójść. Ogród. Hmm... Generalnie mówiąc, niezadbany. Z tego, co się dowiedzieliśmy, to nie dysponują funduszami i panie, które tam pracują, to tylko raczej z miłości do roślin. Ta, która nas oprowadzała, była wręcz zażenowana tym, że niektóre szklarnie są w tak fatalnym stanie. Prosiła, by nie udostępniać zdjęć, które ten stan pokazują. Za to rośliny! Cóż, natura wszędzie i w każdych warunkach sobie radzi! Znaczący wydział często okrzyki zachwytu, ja też achy i ochy wydawałam, choć nazw roślin nie znałam.

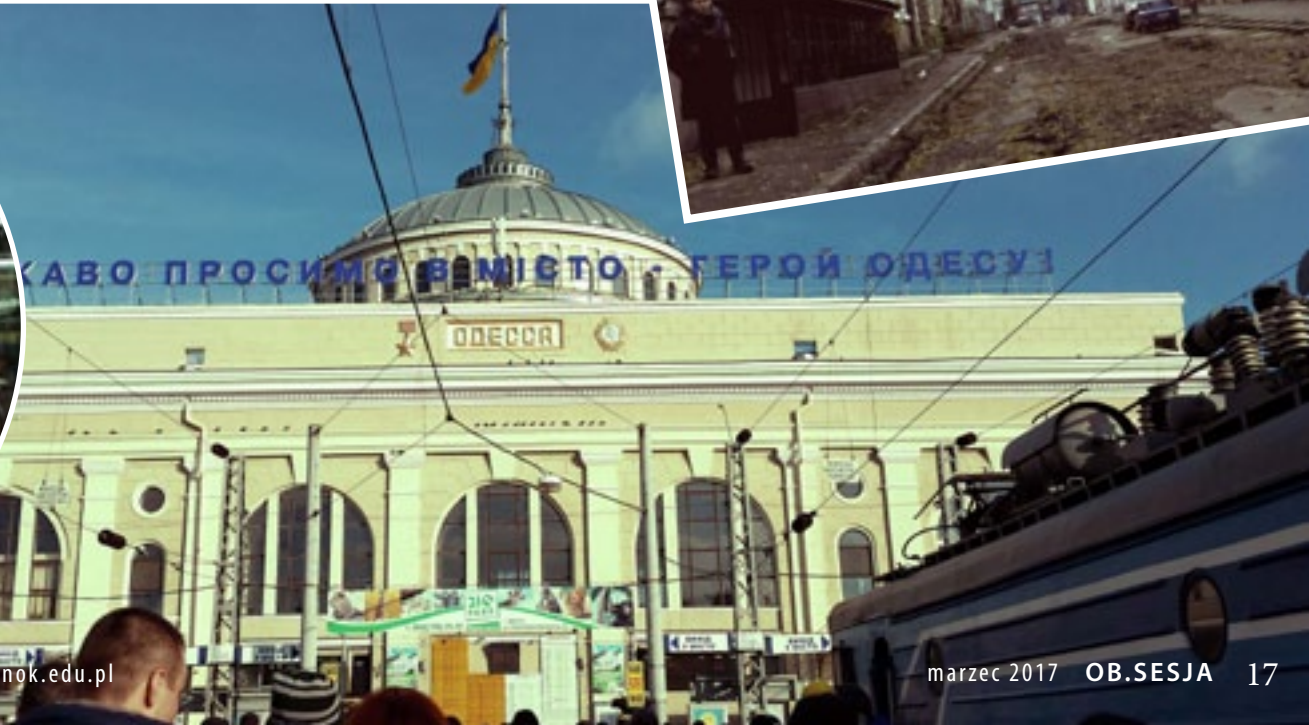
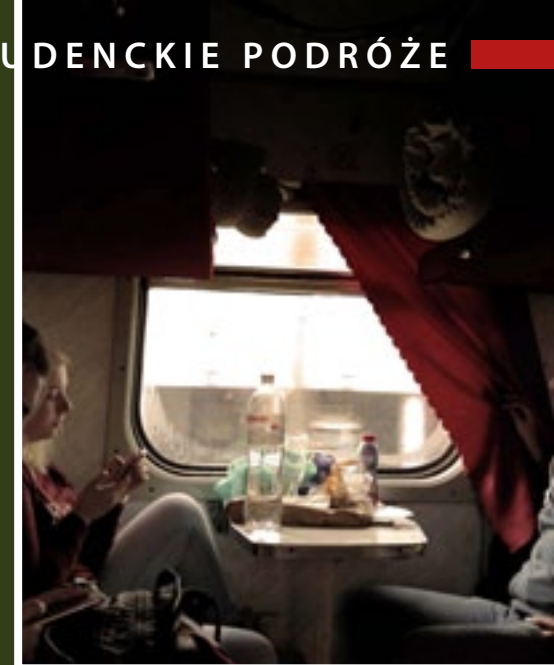
Miłość można spotkać wszędzie ;)

Studencki wypad nam się udał! Wydałam niecałe 500 zł na 6 dni podróżowania i zakupy do domu. Do Odessy jeszcze wróć. Długo będę wspominać koleżankę dzielnie skrobiącą po starych murach i zbierającą próbki mchów, podczas gdy bezpieczne psy nie odstępowały jej na krok. Inna koleżanka tak zachwycała się nad roślinkami w Ogrodzie Botanicznym, że aż chciała jedną kupić. Oczywiście nie były one na sprzedaż, ale pani pracująca w ogrodzie podarowała jej roślinkę, a ta dzielnie przeżyła podróż do Sanoka. To się nazywa miłość do kwiatów!

A ja? Marzę o następnej podróży. Mam nadzieję, że również na wschód. Ze Słowianami najłatwiej się dogadać i biegiem czasu coraz bardziej doceniam wartość matury z języka rosyjskiego.

Edyta Wilk

III rok, nowe media, reklama,
kultura współczesna



PETERSBURSKIE IMPRESJE

Zwykło się mówić, że druga stolica Rosji, której budowa została skrupulatnie zaplanowana i wykonana kosztem wielu ludzkich istnień, stoi na cmentarzu. Z jednej strony miasto to charakteryzuje się ogromnymi kontrastami społecznymi, a z drugiej jest uważane za najbardziej europejskie miasto Federacji Rosyjskiej, które intensywnością ruchu turystycznego przewyższa Moskwę. Jakie wrażenia pozostawia po sobie wizyta w Sankt Petersburgu? ➡➡





Widok z okna hotelu przy Lermontowskim Prospekcie nie wydawał się niczym niezwykłym. Ostatnie promienie słońca jednego z trzydziestu dni września topiły się na dachach kamienic, z coraz mniejszym przekonaniem odbijały się od łagodnej tafli płynącego nieopodal dorzecza Newy i stopniowo dogasając, przemalowywały soczystą zieleń pobliskiego parku na coraz to ciemniejsze odcienie szarości. Latarnie uliczne, światła w oknach i lampy samochodów jak co dzień, i jak wszędzie indziej o podobnej porze, dawały odpór nadchodzącej nocy. Z hałasu ruchu ulicznego można było z trudem wyłowić rozmowy przechodniów, w większości prowadzone beznamiętnym tonem. Zapach w pokoju hotelowym był na tyle neutralny, na ile to możliwe i zapewne będąc osobą, która dużo podróżuje, można tę charakterystyczną bezwonność odbierać jako pewien element swojskości, jako coś pożądanego u celu podróży, coś, do czego się paradoksalnie tęskni po powrocie do domu.

Chciałoby się rzec: wszystko jest tak, jak zwykle, z tym że ponad tysiąc pięset kilometrów od miejsca stałego zamieszkania. A jednak rzeczywistość nie była ani zwykła, ani swojska, a treść karty hotelowej na małym stoliku ze sklejką była napisana w języku, który jest w tym samym stopniu tragicznie bliski, co zupełnie obcy osobie urodzonej w Polsce.

W rosyjskim zwierciadle

Długie rzędy zabytkowych kamienic o równej wysokości i symetrii wywołują nieodparte wrażenie, że zabudowa miasta odmierzona została od jakiejś ogromnej, niewidzialnej linii. Nie bez powodu. Zgodnie z planem i dyrektywą ówczesnego cara oraz założyciela Sankt Petersburga, Piotra Wielkiego, wszystkie budynki mieszkalne i użytkowe w centrum miasta nie mogły przekraczać ustalonej wysokości. Wrażenia

towarzyszące dłuższej przechadzce przywodzą na myśl Wrocław, co jest skojarzeniem wyjątkowo trafnym, po pierwsze ze względu na dużą liczbę mostów, których na dzień dzisiejszy w Petersburgu jest blisko czterysta (miasto to zwane jest Wenecją Północy), a po drugie przez fakt, iż do zaprojektowania miasta Piotr Wielki zaangażował wielu architektów z zachodniej Europy, a w szczególności z Niemiec.

Niecodzienna szerokość i jakość utrzymania głównych arterii miasta wywołuje pewnego rodzaju szok porównawczy. To, co może również zaskoczyć, to poziom czystości ulic. Ze świecą czy może raczej z lupą można szukać papierków, siatek czy niedopałków. Co wielce chwalebne, petersburżanie, mimo wielu inicjatyw, nie dopuścili do zepsucia XVIII-wiecznego krajobrazu miasta nowoczesnymi konstrukcjami, wielkimi centrami handlowymi czy też wieżowcami ze stali i szkła – tego typu obiekty znajdują się w dalszych dzielnicach lub na obrzeżach miasta.

Sankt Petersburg jest wymarzony miastem dla ludzi lubiących dłużej pospać oraz, co się z tym często wiąże, amatorów nocnego życia. Godziny urzędowe trwają od dziesiątej do osiemnastej i to właśnie po godzinie szóstej wieczorem serce miasta – Newski Prospekt – zaczyna tętnić życiem ze zdwojoną siłą. Do autobusów i stacji metra wlewają i wylewają się tłumy ludzi. Oprócz

podobnie zresztą jak w stolicy Rosji, zadbane i odnowione jest tylko ścisłe centrum miasta oraz obiekty atrakcyjne dla turystów, natomiast im dalej od Newskiego Prospektu, tym więcej skruszonego tynku, wyblakłej farby i tym bliżej ludzi, których wyrazu oczu nie sposób opisać słowami

warkotu samochodów najdroższych marek wszędzie słychać szybki stukot wysokich obcasów elegancko i z fantazją ubranych petersburżanek. Co i rusz wewnątrz klubów czy na rogach przecznic pod gołym niebem odbywają się przedstawienia i koncerty, a modne kawiarnie pękają w szwach. Mnogość migających banerów reklamowych, intensywność zapachów wydobywających się przez otwarte drzwi restauracji oraz ujmująca kaskad metropoli w godzinach nocnych może przyprawić o zawrót głowy.

Język polski w rosyjskojęzycznej rzeczywistości brzmi jak miękki szelest akompaniujący chórowi wokalistów. Śpiewność, płynne zmiany akcentowania poszczególnych słów i brak kanciastych głosek w mowie Rosjan może wprawić polskie ucho w osłupienie. Szczególnie gdy człowiek w języku rosyjskim potrafi się tylko przywitać, podziękować i pożegnać. Większe zaskoczenie wywołuje jednak fakt, że porozumienie się w języku angielskim na ulicy, w sklepach czy restauracjach jest niemożliwe. Reakcja na zadane w języku Szekspira pytanie jest najczęściej taka sama: okrągłe oczy i szeroko rozłożone ręce rozmówcy. Z tego też powodu, w przypadku osób nie mówiących po rosyjsku, wybór produktów w sklepie czy dania w restauracji musi odbywać się metodą na chybił-trafił, przy pomocy rąk i mimiki twarzy. Należy zdać się na ślepy los i w tym kontekście wyrażenie „rosyjska ruletka” nabiera nowego wymiaru.

Przeźrocyste mury

To, co w Polsce istnieje i nierzadko rzuca się w oczy, w Petersburgu jest przykrym i wszechogarniającym doświadczeniem, które przekroczywszy na przestrzeni dziejów



fot.: bartłomiej abram

Rosji wszelkie granice, postawiło jednocześnie między ludźmi niewidzialną ścianę. Takiej ściany nie da się obejść, przetrwać, nie da się jej również przeskoczyć, a o tym, po której jej stronie człowiek się znajdzie, decyduje tylko i wyłącznie akt urodzenia. Mowa tu o rozwarstwieniu społecznym, o zupełnym braku klasy średniej, o przykrych kontrastach, które doskonale obrazuje błagalny ton osoby bezdomnej żebrzącej pod kawiarnią, gdzie małe espresso kosztuje równowartość trzydziestu złotych, czy widok trzydziestoletniej porzucanej łady stojącej na parkingu obok najdroższego modelu limuzyny o koniecznie białym, bo najmodniejszym aktualnie na Zachodzie, lakierze.

To zupełnie normalne w tym mieście, podobnie jak fakt, że w jednym mieszkaniu znajdującego się w centrum Petersburga mieszka kilka rodzin, które dzielą łazienkę i kuchnię ze wszystkimi mieszkańcami tego samego piętra. Ceny kupna lub wynajmu lokali są tak astronomicznie wysokie, że nie ma sensu ich przytaczać. Warto dodać, że Moskwa pod tym względem jest jeszcze droższa. Podobnie zresztą jak w stolicy Rosji, zadbane i odnowione jest tylko ścisłe centrum miasta oraz obiekty atrakcyjne dla turystów, natomiast im dalej od Newskiego Prospektu, tym więcej skruszonego tynku, wyblakłej farby i tym bliżej ludzi, których wyrazu oczu nie sposób opisać słowami.

Od petersburżan nie bije niechęć czy uprzedzenie. Wręcz przeciwnie – da się odczuć pewnego rodzaju zachowawczą uprzejmość, która podszyta jest ciekawością. Bardzo możliwe, że takie nastawienie jest również – albo i w największej mierze – spowodowane przez pragnienie zobaczenia innego świata czy przeżycia odmiennych, nieznanych dotąd doświadczeń. Wydaje się, że mimo mocnego zakorzenienia we własnej kulturze i tradycji,

Rosjanie chętnie i z wyczuwalną tęsknotą spoglądają na Zachód. Doskonale widać to, gdy weźmie się pod uwagę naśladowanie europejskich czy amerykańskich trendów, popularność muzyki zachodnioeuropejskiej w Rosji czy też wiele pytań dotyczących tego, jak żyje się w krajach bliższych zachodnim standardom. Nie zmienia to faktu, że w toku takiej rozmowy ze strony Rosjan często pojawia się poczucie dumy graniczącej z wyższością, a także przekonanie o własnej odrębności.

Ujmujący, choć niekoniecznie w pozytywnym znaczeniu tego słowa, jest wyraz twarzy ludzi mijanych na ulicach Sankt Petersburga. Ciężko nieraz rozstrzygnąć, czy odzwierciedla on desperację, rezygnację czy może coś pośredniego między tymi dwoma stanami emocjonalnymi. Nie sposób się temu dziwić, jeżeli weźmie się pod uwagę, że większość społeczeństwa próbuje wiązać koniec z końcem miesięczną pensją porównywalną do polskiej najniższej krajowej, żyjąc w mieście droższym od Warszawy. Emerytury z kolei są tak niskie, że bez wsparcia rodziny osoby starsze nie mają szans nawet na opłacenie czynszu. Ludzi, którzy żyją pod tej drugiej stronie przezroczystego muru, nie mijają się na chodnikach. To oni nas mijają w samochodach wartych przynajmniej kilkaset tysięcy złotych.

Białe noce i ciemne dni

Sankt Petersburg, Piotrogród, Leningrad i z powrotem Sankt Petersburg – miasto od swojego założenia w 1703 roku zmieniało

nazwę kilkakrotnie na fali burzliwych dziejów historii Rosji. Nie zmieniło się na pewno to, że „Petersburg to okno, przez które Rosja patrzy na Europę”.

Wybudowane od podstaw na bagnistym terenie, przy udziale zarówno najlepszych zachodnich architektów, jak i zwykłych rosyjskich robotników, z których wielu to przedsięwzięcie przypłaciło życiem. To tutaj Piotr Wielki w Peterhofie przyjmował europejskie delegacje, które wprawiał w zachwyt luksusem i bogactwem, to z zacumowanego w tutejszym porcie krążownika Aurora padł strzał obwieszczający początek rewolucji bolszewickiej i to właśnie w tym mieście co roku miliony osób podziwiają zjawisko białych nocy.

Miasto muzeów, pałaców, portów, przepięknych cerkwi i soborów oraz licznych mostów, w których na próżno upatrywać symboliki porozumienia ponad przepaścią różnic społecznych. Wspaniałe i inspirowane miejsce dla turystów, czarno-biała rzeczywistość dla mieszkańców starających się przynajmniej o godną egzystencję. Malownicza pocztówka Rosji, w której barwy wkrada się tym więcej szarości, im więcej kilometrów dzieli nas od Ermitażu. Pochowany w Sankt Petersburgu Fiodor Dostojewski niespełna sto pięćdziesiąt lat temu napisał: „Wydaje mi się, że to najbardziej ponure miasto, jakie tylko może być na świecie”. Warto dzisiaj samemu zmierzyć się z tą opinią.

Bartłomiej Abram

I rok, nowe media, reklama, kultura współczesna

wydaje się, że mimo mocnego zakorzenienia we własnej kulturze i tradycji, Rosjanie chętnie i z wyczuwalną tęsknotą spoglądają na Zachód. Doskonale widać to, gdy weźmie się pod uwagę naśladowanie europejskich czy amerykańskich trendów

NA WEEKEND DO PRAGI

„Złata Praha” – jak kiedyś nazywała się czeska stolica, jest jednym z najpiękniejszych miejsc w Europie i najchętniej odwiedzanych pośród turystów z całego świata. Praga łączy w sobie i magię Paryża, i troszeczkę Wenecji. Nikogo nie pozostawia obojętnym i sprawia, że chce się tutaj wracać znowu i znowu.

W taki sposób stolica Czech zaczerpowała i nas. Spędziliśmy tutaj tylko dzień, ale mieliśmy odciski od spacerowania od 7 rana do 1 nocy. Zwiedzanie miasta jest dość proste, większość zabytków i atrakcji znajduje się blisko centrum, w dzielnicach Stare Miasto, Mala Strana, Josefov, Hradczany, Nowe Miasto. Poniżej opisujemy kilka najciekawszych według nas miejsc w Pradze, które każdy musi zobaczyć.

Rynek Starego Miasta z Ratuszem.

Naprawdę warto wydać trochę czeskich koron i wydrapać się na wieżę ratusza, bo właśnie stąd można zobaczyć najpiękniejszy widok na serce miasta. Bardzo ładnie prezentuje się sam Rynek, czerwone dachy kamienic i uliczki dookoła. Na dole znajdują się astronomiczny zegar, chyba największa atrakcja Pragi. Z innej strony Rynku stoi kościół Marii Panny przed Tynem, a wokół Rynku – dużo gotyckich i renesansowych kamienic, przypominających czasy, gdy Praga była stolicą Cesarstwa Niemieckiego. Warto też zaznaczyć, że zabytkowe centrum miasta znajdują się na Liście Światowego Dziedzictwa „Unesco”.

Most Karola.

Wielu turystów przyjeżdża właśnie po to, aby zobaczyć ten most – wizytówkę miasta. Jest to niesamowity skansen strzeżony przez trzydzieście figur świętych. Ciekawostką jest to, że według legendy król Karol IV przed budową zwrócił się do astrologów. To oni ustalili, w jakim roku, w jaki dzień i o której godzinie trzeba zacząć budować most, aby stał na zawsze. Dwa poprzednie mosty zbudowane przez mieszkańców, aby połączyć lewy i prawy brzeg rzeki Wełtawy, zostały zmyte przez powódzie. Karol czekał na określony czas

i położył pierwszy kamień w 1357 roku. Do tej pory most nie wymaga naprawy.

Zamek królewski.

Jest największą tego typu budowlą świata, rezyduje w nim prezydent Republiki Czeskiej. Zamek przyciąga swoją potęgą. Jedną z turystycznych atrakcji jest uroczysta zmiana warty, która odbywa się co godzinę. Obok znajduje się katedra Świętego Wita, budowana przez sześć stuleci i znana jako najważniejsza świątynia całego państwa czeskiego, bo znajduje się w niej krypta czeskich królów.

To są trzy najważniejsze miejsca w sercu Czech, łączące się w piękny szlak, na którym można pograć się w atmosferze przeszłych wieków.

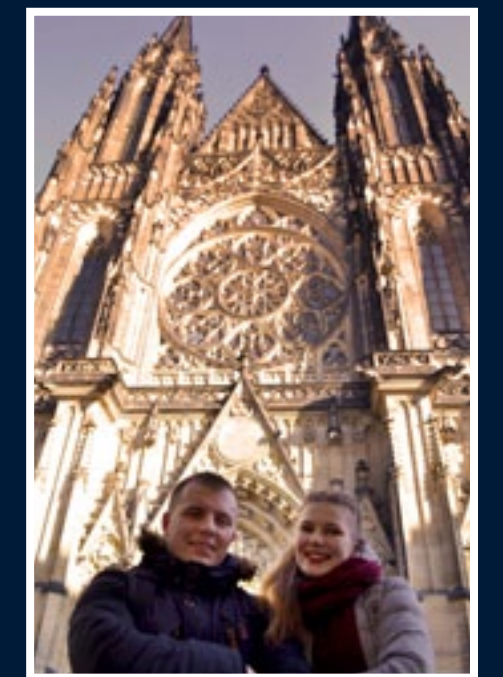
Jeśli chodzi o stronę finansową takiej podróży, to wydaliśmy stosunkowo niewiele jak na popularną europejską stolicę:

Droga: Korzystając z oferty Polskiego Busa, dojechaliśmy z Rzeszowa do Pragi za 120 zł w dwie strony dla dwóch osób. Mieliśmy przesiadkę w Krakowie i niecałe 2 godz. przerwy, co dało nam też możliwość pospacerowania wieczorowym Rynkiem Głównym.

Wyżywienie: Oczywiście dużo mieliśmy ze sobą, jak prawdziwi wędrowcy, ale i tak wszystkiego nie zjedliśmy. Koniecznie trzeba spróbować tradycyjne danie czeskie – golonkę z słynnym piwem (ok. 50 zł, ale warto!) i trdelnik – słodkie ciasto grillowane z cukrem oraz cynamonem (10 zł). Jeżeli coś potrzebujemy ze sklepu spożywczego, to jest tam nawet taniej niż w Polsce.

Nocleg: Z pośród wielu oferowanych miejsc noclegowych ze strony Booking.com wybraliśmy trzygwiazdkowy hotel „Bily Lev”. Mogliśmy poszaleć, bo pokój kosztował 80 zł za dwie osoby.

Nie ważne, kiedy podróżujemy, czy to zimą, czy latem, najważniejszy jest dobry humor, fajny kompan i spakowany plecak. Wtedy wszystko się uda i zostawi za sobą mnóstwo wrażeń. Prawdziwy świat zaczyna się za oknem, trzeba tylko podnieść głowę i iść ku przygodzie.



Bożena Bujak

II rok, ekonomia

Taras Kuzhdeba

II rok, ratownictwo medyczne

fot.: bożena bujak, taras kuzhdeba



WEEKEND W LUBLINIE

Dwa dni spędzone na zwiedzaniu i podziwianiu uroków Lublina, gdzie trafiliśmy z Akademickim Kołem Turystycznym, minęły bardzo szybko i przyjemnie. Lublin owiany jest magicznym klimatem, niepowtarzalny i wyjątkowy. Tu wszystko, choć z pozoru przypadkowe, jest nieodłącznym elementem piękna tego miasta.

Podróż do Lublina zajęła nam kilka godzin. Nocleg zorganizowany był w centrum miasta, a ta lokalizacja była dla nas naprawdę ogromnym udogodnieniem. Wszędzie było blisko, a z okna hotelowego pokoju rozciągał się piękny widok na Muzeum Lubelskie, które mieliśmy okazję zwiedzić na drugi dzień. Akurat w tych dniach organizowana była wystawa „Malarze Normandii”, udało nam się ją obejrzeć. Mogliśmy podziwiać uwiecznioną na obrazach różnorodność kulturową i przyrodniczą Normandii.

Następnie zwiedziliśmy odrestaurowaną Bazylikę Ojców Dominikanów, będącą jedną z najstarszych świątyń w Lublinie. Mieliśmy okazję podziwiać kaplicę zamkową imienia Trójcy Świętej, której początki sięgają roku 1327. Niegdyś należała ona do kompleksu zamkowego i była budowlą jednokondygnacyjną z kryptą, dziś jest jedną z atrakcji turystycznych i można podziwiać w niej piękne

odnowione malowidła ściennie o tematyce religijnej.

Po zwiedzaniu mieliśmy popołudnie dla siebie, był to także czas, żeby lepiej przyrzeć się miastu. Nie bez powodu Lublin jest natchnieniem dla wielu malarzy i poetów. Zniszczony, ale mimo tego piękny. Szare brukowane chodniki na starówce rozjaśniają kolorowe budynki o ciekawych wzorach. W miejscu powybijanych okien starych, opuszczonych kamienic widnieją duże zdjęcia dawnych mieszkańców. Przy Bazylice Ojców Dominikanów we framugach okien można zobaczyć postacie z obrazu *Świat do góry nogami* Petera Bruegla, tj. część obrazu przedstawiają scenki rodzajowe, z których każda jest ilustracją niderlandzkich przysłów. Nie bez powodu właśnie ten obraz zdobył okiennice opuszczonej kamienicy. Został namalowany 10 lat przed Unią Lubelską i przypomina o latach rozkwitu Lublina,

a przysłowia ukazane na zdjęciach są nadal aktualne. Tutaj, w Lublinie, nawet witryny sklepów i kawiarni zdają się być nieodłącznym elementem wystroju miasta. To wszystko sprawiało, że przechadzka po starówce była dla nas wyjątkowa.

Jednak wszystko co dobre, kiedyś się kończy, a my musieliśmy wracać. Ta wycieczka trwale pozostanie w naszej pamięci. Żegnaliśmy miasto wierszem Józefa Czechowicza *Poemat o mieście Lublinie*: „Dobranoc, miasto stare, dobranoc. Drogi białe wychodzą stąd na północ, zewężają się w ścieżyny, ścieżyny rozlewają się w drobne strużki stecek. Wędrowiec jest już tylko ciemnym punkcikiem na jednej z nich. Zniknął za wzgórzem. Dobranoc, miasto, dobranoc...”

Anna Osenkowska

1 rok, nowe media, reklama,
kultura współczesna

DZIKI CHILLOUT

Cisza, spokój, oderwanie się od trudów i znojów dnia codziennego, dzika przyroda, brak zasięgu telefonii komórkowej. Czyż nie są to atrybuty wypoczynku, o którym marzy każdy z nas? Istnieje takie magiczne miejsce, które powyższe kryteria spełnia z nawiązką. To położona w odległości pięćdziesięciu kilometrów od Sanoka miejscowość Balnica.

Na początek trochę historii

Powstała w XVI wieku wieś Balnica nie miała łatwej historii. Po niespełna stu latach swego istnienia została splądrowana przez wojska węgierskie, co powtórzyli kilkanaście lat później tołhaje, czyli karpaccy zbójnicy. Mimo tego teren ten cały czas był zamieszkiwany, aż do 1947 roku, kiedy to podczas akcji „Wisła” cała ludność została przesiedlona, a wieś doszczętnie spalono. Dziś na jej obszarze znajduje się stacja Bieszczadzkiej Kolejki Leśnej, pełniąc zarazem funkcję schroniska turystycznego „Przystanek Balnica”.

Jedna z dróg

Do schroniska dostać można się na kilka sposobów. Jednym z nich jest podróż wspomnianą wyżej kolejką wąskotorową. Oprócz funkcji transportowej, przejazd nią zapewni niezapomniane wrażenia wizualne. Trasa biegnie bowiem przez piękne bieszczadzkie lasy. Alternatywą jest podróż do Maniowa, gdzie po zlokalizowaniu przy głównej drodze tabliczki „Balnica”, naszym oczom ukazuje się miejsce na ewentualne pozostawienie samochodu i malownicza, siedmiokilometrowa piesza trasa. Po drodze znajduje się kapliczka z cudownym źródłem, potężne składy drewna oraz bobrowisko, w centrum którego zauważymy... słup wysokiego napięcia. Ze względu na prace leśne trwające cały rok droga prowadząca do „Przystanku Balnica” jest utwardzona, tak że śmiało możemy jej pokonanie zaliczyć bardziej do przyjemnego spaceru niż leśnej przeprawy.

Domek w lesie

Mimo iż schronisko sprawia wrażenie małego, drewnianego domku, jest w stanie pomieścić około dwudziestu pięciu osób. Oprócz tego na parterze została wygospodarowana przestrzeń na mieszkanie wódowni oraz mały sklepik. Budynek pierwotnie służył jako dom dla pracowników kolejki, którzy mieli za zadanie dbać o torowisko, by transport drewna mógł się odbywać bez przeszkód. W środku znajdziemy mnóstwo pamiątek po balnickich domach oraz dzikie zwierzęta uwiecznione na fotografiach, gromadzonych latami przez właściciela. Oprócz miejsc do spania (sala grupowa oraz kuchnia oraz dwie łazienki. Jak na środek lasu, warunki są iście królewskie. Całego dobytku strzeże półkwi wilczyca – Luna. Mimo groźnego wyglądu, jest to spokojny zwierzę, przyjaźnie nastawiony do ludzi. Amatorzy fotografii na pewno docenią jej usposobienie oraz urodę.

Co tu robić?

Gdy przejdzie pierwsza fala ekscytacji, pojawia się pytanie: co tu robić? Opcji jest przynajmniej kilka. Pomijając zwyczajne leniuchowanie, oddychanie świeżym powietrzem i relaks, możemy udać się na Matragonę – górę, u podnóża której leży schronisko. Jest to jednak wyprawa przeznaczona dla bardziej zaawansowanych turystów, gdyż na szczyt nie prowadzą żadne oznakowane szlaki. Jej nazwa została wykorzystana przez sanocki zespół Orkiestra Jednej Góry Matragona. Warto też zaznaczyć,

że schronisko jest umiejscowione przy samej granicy polsko-słowackiej. W sezonie pieszych wędrówek warto wybrać się do miejscowości Osadne, małej wioski oddalonej stąd o niespełna trzy kilometry. Znajduje się w niej cerkiew prawosławna wraz z kryptą, w której spoczywa 1600 żołnierzy rosyjskich. Dodatkowym atutem tej wędrówki jest dobrze utrzymana trasa turystyczna oraz ośrodek „Borovka”, gdzie przystąpienie przez właściciela jak starzy znajomi, będziemy mieli okazję zakosztować słowackiej kofoli czy piwa „reżanego”.

Balnica jest też idealnym miejscem do obserwacji nieba ze względu na brak w promieniu przynajmniej kilku kilometrów źródeł sztucznego światła. Uwaga! Pierwsze zetknięcie się wzroku przyzwyczajonego do łuny miejskiej z taką ilością obiektów astronomicznych może wywoływać potężny zachwyty, a widok ten pozostaje na długo w pamięci.

„Cudze chwalicie, swego nie znacie”

„Przystanek Balnica” jest jednym z tych miejsc, gdzie jedzie się tylko raz – potem już tylko wraca. To miejsce magiczne, uzależniające i niesamowicie inspirujące. Powrót do „cywilizacji” jest gorzką do przełknięcia pigułką. Mam nadzieję, że po przeczytaniu tych kilku zdań każdy poczuje się zobligowany do nadrobienia turystycznych zaległości i umieści Balnicę na liście obowiązkowej najbliższych wypraw. Do zobaczenia na miejscu!

Jakub Kowalewicz

1 rok, nowe media, reklama, kultura współczesna

CZASEM TRZEBA RZUCIĆ WSZYSTKO I POJECHAĆ W BIESZCZADY

Zwyczajny chłopak. Informatyk, pracownik korporacji, mieszkaniec Warszawy. Pewnego dnia rzucił wszystko i przewędrował kawał Polski pieszo, nie używając żadnego środka lokomocji. Wędrówka Bogatynia–Krzemieniec trwała kilkadziesiąt dni. Wracając do domu, zatrzymał się w Sanoku, który go urzekł – i tu właśnie się spotkaliśmy.

Edyta Wilk: Dlaczego od trójstyku do trójstyku? Kiedy zakiełkował w tobie ten pomysł?

Włodek Waligórski: Jako dziecko mało bywałem w górach, były one dla mnie tajemnicze, enigmatyczne. Wpadłem na pomysł, by zobaczyć je wszystkie za jednym zamachem.

EW: Technicznie jak się przygotowywałeś? I ile czasu to zajęło?

WW: Jak? To nie jest wielki problem. Wystarczy przeczytać trochę fachowej literatury. Zrobiłem trzy- i czterodniowe wypadki do Lasu Kampinoskiego. Spałem tam w hamaku, wędrowałem. Chciałem przygotować się kondycyjnie i sprawdzić sprzęt. A ile? To były dwa wypadki. Tylko dwa. Co prawda, tam miałem plecak tylko osiemnastokilowy, a w podróży przez góry ponad dwudziesto-, ale spokojnie się dźwigało taki plecak.

EW: A prowiant? Miałam przyjemność spróbować twojej suszonej wołowiny. Opowiedz czytelnikom, jak ją przygotowałeś.

WW: Po prostu suszyłem. Piekarnik na 60 stopni i dwie, trzy godziny. Później ta wołowina musiała wisieć w przewiewnym miejscu i to był mały problem, bo ciągle roznosił się smakowity zapach. Chodziłem po domu głodny. Garść suszonej wołowiny wrzucona do kaszy czy ryżu zapewniała odpowiednią ilość białka w wędrówce. Zajmowała mało miejsca i była lekka.

EW: Co Cię najbardziej zaskoczyło w całej podróży?

WW: Zaskoczyli mnie ludzie. Przyroda też, ale ludzie bardziej. Ciekawe były reakcje spotykanych osób na moją wędrówkę. Jedni pozwalali mi za darmo u siebie zanoć albo częstowali czymś do jedzenia. Inaczej było w Czechach. Tam niektóre schroniska, kiedy nie mają wolnych miejsc leżących, po prostu nie wpuszczają Cię do środka. Przez te zasady musiałem spać na zewnątrz przy dość dużym mrozie.

EW: A przyroda?

WW: Urzekł mnie jesienny Beskid, Bieszczady także przypadły mi do gustu, zwłaszcza odkryte szczyty, dzięki którym widok jest niezwykły.

EW: Gdyby ktoś chciał ruszyć w taką podróż, co byś mu doradził?

WW: Niech idzie! Po prostu niech idzie.

EW: Przeszedłeś ponad tysiąc kilometrów, przez całą drogę nie spotkałeś się z przemocą?

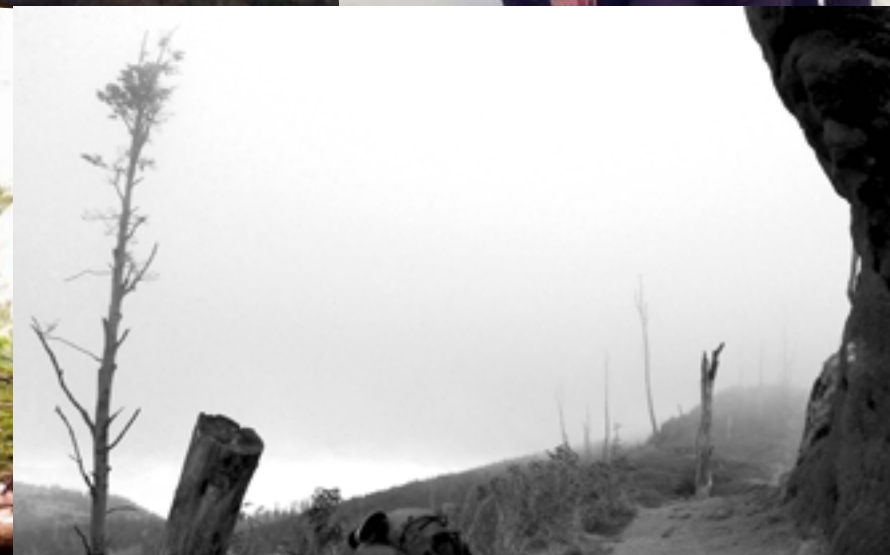
WW: Nie! Może poza tym, że w Bieszczadach jakiś tubylec chciał dobrać się do mojego piwa. I psy czasem bywały agresywne. Nie spotkałem się z agresją ze strony ludzi. Jakiś czas szedłem po czeskiej stronie granicy, ale tam przestępczość jest bardzo niska. W Polsce musiałem uważać na auta. Z ciężkim plecakiem działasz wolniej, więc trzeba uważać na kierowców bez wyobraźni.

EW:

Doszedłeś do trójstyku i znalazłeś się w Sanoku.

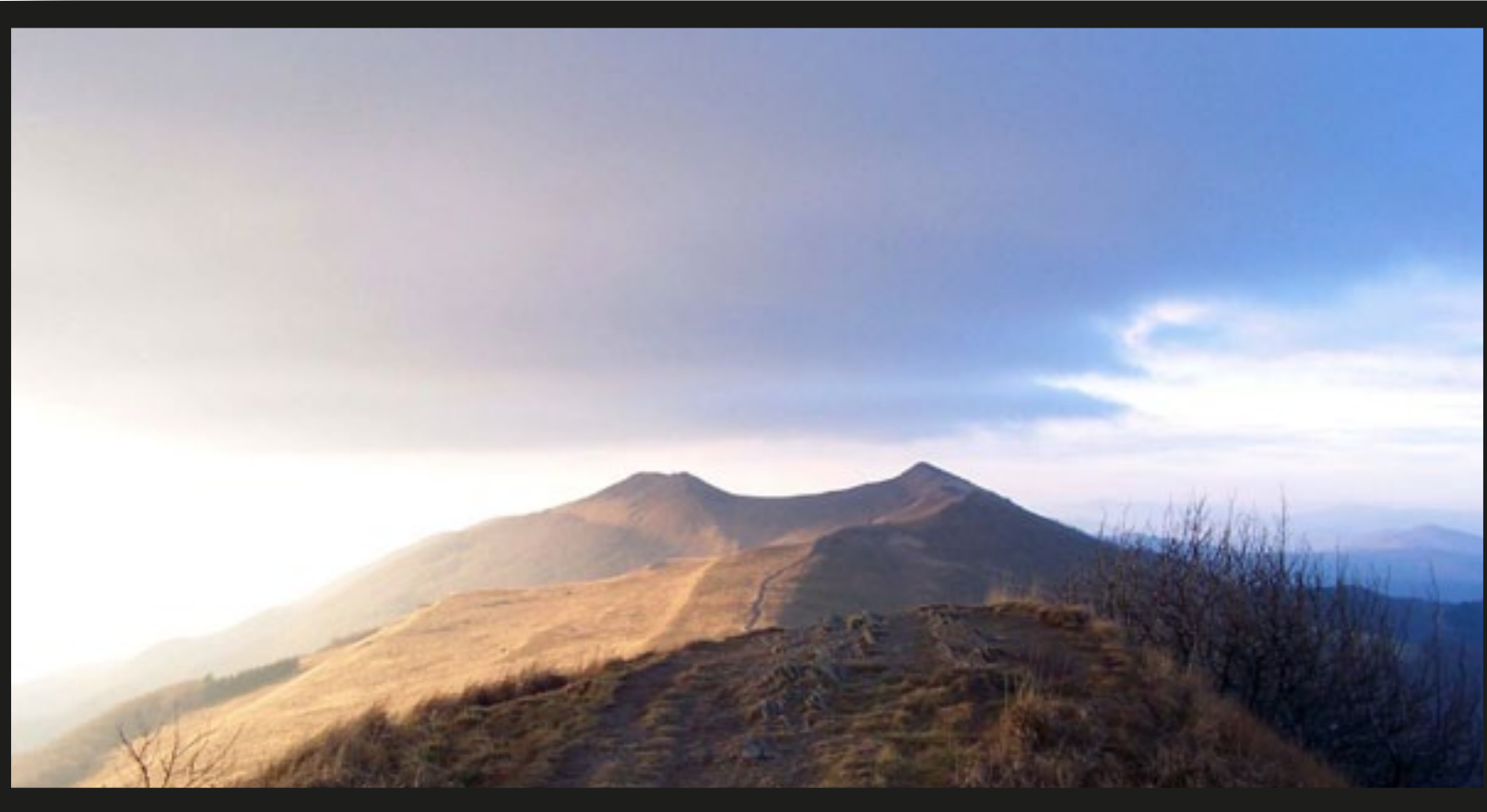
WW: I Sanok mi się spodobał. Trafiłem na koncert na tutejszej uczelni zorganizowany przez Czas Nadziei, posłuchałem między innymi Angeli Gaber i wiem, że tu jeszcze wrócę, aby dokładnie zwiedzić miasto i okolice.

EW: Czyli dobrze jest czasem rzucić wszystko i pójść w Bieszczady!



BIESZCZADY NA SZKLANYM EKRANIE

Bieszczady – niegdyś kraina uwielbiana przez hippisów i autsajderów, kryjąca wiele zagadek, dziś coraz chętniej odwiedzana przez turystów. Piękno połonin, bukowych lasów i malownicze pejzaże zachwyciły każdego, kto choć raz odwiedził te okolice.



Bieszczadach. I chociaż sam film nie zachwyca, widoki niczym z pocztówek zainteresują każdego miłośnika tych terenów.

Bogata w pejzaże, tym razem zimowe, jest produkcja „Kino objazdowe” (reż. Stanisław Jędryka, 1988). W tej historii do małej osady przyjeżdża kino objazdowe. Okazuje się jednak, że nie ma dla kogo wyświetlać filmów, gdyż wszyscy mieszkańcy ruszyli na polowanie. Seans zostaje odwołany, a bohater wyrusza w góry do domu swej dziewczyny, odciętej od świata przez zimę. Film pełen jest cieszących oko ujęć Bieszczadów, uwagę zwracają zdjęcia kręcone ze śmigłowca.

Spragnionym lekkiej rozrywki i malowniczych widoków można polecić krótką (trwającą 37 minut) komedię „Wolna sobota” Leszka Staronیا z 1977 roku. Wiele tu pięknych pejzaży, które okraszają wesołą opowieść wozaka parku konnego w Bieszczadach, snutą podczas przesłuchania dotyczącego tytułowej wolnej soboty.

Nie tylko filmy

Nie można zapomnieć o popularnym serialu „Wataha”, którego akcja rozgrywa się przede wszystkim w Bieszczadach i Górach Sanocko-Turczańskich. Zobaczmy tutaj kamieniołomy: w Rabem i Huczwicach – ten drugi tuż obok chatki turystycznej PWSZ w Sanoku.

Ponadto sceny kręcono chociażby na

Sinich Wirach, w Polankach, w cerkwi z Michniowca, na

solińskiej zaporze czy

w Ustrzykach Górnych,

gdzie znajduje się

strażnica Straży

Granicznej. W oko-

licach Studenckiej

Bazy Namiotowej na

terenie dawnej wsi

Rabe ulokowano zbu-

dowaną na potrzeby fil-

mu chatkę Szeptuna. Co

ciekawe, prócz znanych akto-

rów, takich jak Andrzej Zieliński,

Bartłomiej Topa czy Leszek Lichota, w seria-

lu wystąpił tresowany niedźwiedź i wilczak

czechosłowacki – rzecz jasna w roli wilka.

„Wataha” zachwyca zdjęciami pięknych,

bieszczadzskich plenerów. Warto też wspo-

mnąć o muzyce karpaccich Tołhajów wyko-

rzystanej w serialu. Pierwszy sezon, emitowa-

wany w 2014 roku, doczekał się pozytywnych

recenzji i wielu zwolenników, którzy nie mogą

doczekać się drugiej części przygód. Ujęcia

do kolejnego sezonu były już kręcone mię-

dzy innymi w Orelcu, Sanoku i Zagórzcu od

października 2016. A zatem fanom „Watahy”

pozostaje czekać z niecierpliwością na pre-

mierę kolejnych odcinków.

Justyna Borek

1 rok, nowe media, reklama, kultura współczesna

Również filmowcy dostrzegli potencjał naszych rodzimych gór. Tworzono tu filmy zarówno o samej bieszczadzkiej krainie, jak i te, w których akcja rozgrywała się w tamtejszych rejonach. Czasem malownicze widoki stawały się jedynie tłem dla wydarzeń, a widz nie zdawał sobie nawet sprawy z tego, że oto widzi na ekranie bliskie mu góry.

Mniej lub bardziej brutalne realia

O surowych, trudnych warunkach życia opowiada „Baza ludzi umarłych”. Jest to adaptacja powieści Marka Hłaski „Następny do rajów” zrealizowana przez Czesława Petelskiego. Akcja toczy się w bazie transportu drzewa, gdzie z ciężką pracą i przeciwnościami losu zmagają się robotnicy. Mimo że film traktuje o Bieszczadach, produkcja powstawała głównie w Sudetach. Wyjątkiem są sceny z warszawskim samochodem – te kręcono w Baligródzie. Film po premierze w 1959 został wycofany na półtora roku z dystrybucji przez cenzurę. W dobie ówczesnego polskiego kina wyróżniał się pod względem psychologicznej głębi, scenografii, charakterystyki czy aktorstwa.

„Chudy i inni” to czarno-biała opowieść o losach robotników pracujących przy budowie zapory solińskiej wyreżyserowana przez Henryka Klubę w 1967 roku. W nieco balladowym tonie film opowiada o perypetiach brygady budującej most. Tłem dla wydarzeń jest budowa zapory wodnej w Solinie. Brak tutaj typowych bieszczadzskich krajobrazów, jednakże film udokumentował ważny w historii regionu moment powstawania tamy (łącznie z drastycznym niszczeniem

pięknej, starej chałupy). Wszystko to okraszane dobrą grą aktorską i błyskotliwymi dialogami.

Natomiast „Hasło” w reżyserii Henryka Bielskiego to osadzona w bieszczadzskich realiach opowieść o ludzkiej chciwości. Produkcja kręcona w roku 1958 między innymi w Lutowiskach i okolicach pojawiła się na ekranach w 1976 roku i przedstawia ciężką i niebezpieczną pracę przy zwózce drzewa. Pojawiają się tu bukowe lasy, trudne do przebycia błotniste drogi. Scenariusz, oparty na słuchowisku Jerzego Janickiego, utrzymuje widza w napięciu do końca filmu, daje do myślenia i bezlitośnie obnaża ciemną stronę ludzkiej natury.

Polski Dziki Zachód

Również Ustrzyki Dolne były tłem wydarzeń filmowych – w 1958 roku kręcono tam „Wilcze echa”, a do miejscowości zawitały takie gwiazdy polskiego kina, jak Marek Peperczko, Irena Karel czy estoński aktor Bruno O’Ya, znany później z „07 zgłoś się” czy „Potopu”. – Przyjmując w warstwie fabularnej poetykę klasycznego filmu kowbojskiego, będą równocześnie próbował położyć nacisk na polskie realia – zapowiadał reżyser Aleksander Ścibor-Rylski, przystępując do realizacji „Wilczych ech”. W fabule, zainspirowaną powojennymi realiami panującymi w południowo-wschodnim krańcu Polski, wpleciono ucieczki, pogonie, sprytnie pułapki, spektakularne ocalenia i – rzecz jasna – miłość do pięknej kobiety. Film, utrzymany w konwencji westernu, kręcono w Ustrzykach Dolnych na ulicy Nadbrzeżnej,

nad brzegiem rzeki Strwiąż – tej, która jako jedyna w Polsce wpada do Morza Czarnego. Na ekranie pojawiły się również okolice nieistniejącej już Stacji PTTK, terenu dawnego Kombinat Drzewnego PPD oraz połoniny: Caryńska i Wetlińska, które idealnie wpisały się w westernowy obraz produkcji. Szczęśliwcy mieli okazję podziwiać słynnego Bruno O’Yę nie tylko podczas pracy – aktor, który posiadał także talent wokalny, przy okazji kręcenia filmu wystąpił w Solinie, Sanoku i Ustrzykach Dolnych.

Rok 1958 okazał się płodny dla filmów, a konkretnie westernów z Bieszczadami w tle. Oprócz głośnych „Wilczych ech” kręcono sceny do „Rancho Texas” (reż. Wadim Berestowski). Za plener posłużyło Lesko, Krywe, okolice Sieniawy oraz opuszczona wieś Tworylna. Przez kilka lat w Tworylnem funkcjonowała stacja PTTK „Szept”, ulokowana w baraku pozostałym po pracy ekipy filmowej. Nie sposób ukryć, że bieszczadzkie krajobrazy to główny walor tego filmu. Natomiast samą próbę adaptacji westernu na rodzimy grunt można podsumować jednym cytatem z tego widowiska: „To nie dziki Texas, a pan nie jest niezwykłym Jackiem; to są tylko Bieszczady, a ja jestem jedynie laborantką z Krakowa”.

Herosi pod połoninami

Kto zauważył, że w „Panu Wołodyjowskim” pojawiają się Bieszczady? Produkcja, którą każdy Polak widział co najmniej raz w życiu, wykorzystuje plenery wsi Skorodne – to tutaj Pan Wołodyjowski potyczkował się z bandą Azba-beja, tutaj Baśka uciekając, wpada do parowu. W pobliżu cerkwi w Chmielu inscenizowano podpalenie Raszkowa, zaś nieopodal Lutowisk, na wzgórzu Chodak, stanęła na potrzeby filmu imitacja kresowej stacji. Budowana przez kilka miesięcy, stanowiła przez następne trzy lata niemałą atrakcję turystyczną. Dziś fanom „Pana Wołodyjowskiego” pozostaje wędrówka oznakowaną „ścieżką filmową”.

„Ogniomistrz Kaleń”, który swoją premierę miał w roku 1961, czas wydarzeń przenosi w rok 1946, w wir zaciętych walk ukraińskich powstańców i polskiego reakcyjnego podziemia. Wzruszające losy tytułowego Ogniomistrza przedstawione są na tle zimowych pejzaży gór, Smolnika nad Oslawą, Baligrodu, Muszyny. Scenariusz napisano na podstawie opowiadania „Łuny w Bieszczadach” Jana Gerharda. Produkcja w reżyserii Ewy i Czesława Petelskich niekoniecznie pokrywa się z prawdą historyczną, warta jest jednak uwagi dzięki dobrej grze

aktorskiej Wiesława Gołasa, wcielającego się w głównego bohatera.

O wojennej przeszłości Bieszczadów opowiada też produkcja „Wszyscy i nikt” (reż. Konrad Nałęcki, 1977). Historia dzieje się

w 1946, podczas kształtowania się władzy ludowej w tym

rejonie. Powracających z frontu żołnierzy czeka walka z reakcyjnym podziemiem.

Podczas wesela dochodzi do krwawej rozprawy, spowodowanej przez dowódcę

bandy i byłego konkurenta do ręki panny młodej.

Jeśli chodzi o zdjęcia, Bieszczady pojawiają się jedy-

nie jako widoki w tle na początku i końcu filmu. Plusem jest obsada – zagra-

li między innymi Marian Opania, Wiesław Gołas, Emil Karewicz, Ewa Ziętek.

W poszukiwaniu wolności i piękna

Z czym kojarzą się Bieszczady przyjeżdżającym z różnych zakątków świata turystom? Rzecz jasna z wolnością. To właśnie

wykorzystał reżyser, tworząc w 1999 roku „Enduro boj”. Opowieść o losach zbuntowa-

nych nastolatków poszukujących wolności, przygody. Dwóch siedemnastolatków opu-

zcza rodzinne miasto na ukochanych motocyklach enduro, by w górach zakosztować

niezależności. Jednocześnie ich losy spletają się z uciekinierką z domu dziecka. Historia

rozgrywa się w malowniczych, jesiennych

– przyjmując w warstwie fabularnej poetykę klasycznego filmu kowbojskiego, będą równocześnie próbował położyć nacisk na polskie realia – zapowiadał reżyser Aleksander Ścibor-Rylski, przystępując do realizacji „Wilczych ech”

Polskie Radio RZESZÓW

bo lubię... **90,5 FM**

PRACA W RADIU NIE TYLKO DLA PROFESJONALISTÓW

Czy zastanawiałeś się kiedyś, jak wygląda praca w radiu, jak to jest usiąść przed mikrofonem, założyć słuchawki i przywitać się ze słuchaczami? Podobno to fajne uczucie i nie tylko dla wybranych. Każdy student, który chciałby sprawdzić się w pracy radiowca ma taką możliwość w specjalnej audycji „Godziny Rektorskie” na antenie Polskiego Radia Rzeszów.

Audycja powstała w 2013 roku, jednak jej historia jest znacznie dłuższa. Od 1994 roku na antenie Radia Rzeszów emitowany był magazyn „Młode Radio”, w którym po raz pierwszy antena została oddana do dyspozycji młodym ludziom, wtedy byli to licealiści. Na pomysł, żeby młodzi sami tworzyli audycje radiowe i poruszali tematy, które są dla nich ważne i interesujące, wpadł ówczesny dyrektor programowy radia, prof. Jerzy Chłopecki. Opiekunem magazynu została red. Maria Kornaga. – Akurat ja byłam w pierwszym składzie „Młodego Radia” i do tej pory pamiętam, że moja pierwsza sonda, którą zaproponowałam i zrobiłam, dotyczyła 10 przykazań – wspomina redaktor Grażyna Bochenek, opiekun audycji „Godziny Rektorskie”. – Chodziło o sprawdzenie, czy młodzi ludzie je znają, a także czy religia jest dla nich ważna, czy stanowi jedynie nawyk wyniesiony z domu. Montowaliśmy wtedy jeszcze „na taśmach” – dla mnie to był koszmar, zawsze trzeba było po mnie poprawiać, a najgorzej było, gdy wycięłam za dużo taśmy, a potem nie można było znaleźć tego właściwego kawałka.

Formuła audycji zmieniła się w 2003 roku i pod nazwą „Stuk-Stuk Studenckie Studio”, program zaczęli tworzyć studenci. 10 lat później pojawiły się „Godziny Rektorskie”. Audycja wydłużyła swój czas antenowy i po raz pierwszy była nadawana „na żywo”. Od niedawna z audycją współpracują też studenci z PWSZ w Sanoku, działający z Naukowym Kole Dziennikarskim „Zoom”.

Do pracy nad audycją zgłaszają się bardzo różne osoby, studiuje na różnych kierunkach. Bywają studenci dziennikarstwa, którzy chcą jeszcze podczas studiów nabierać doświadczenia radiowego, ale są też przedstawiciele kierunków zupełnie niezwiązanych z mediami. – Zazwyczaj chodzi o przygodę, chęć sprawdzenia, co jest po drugiej stronie sitka i jak w praktyce wygląda tworzenie radia. Spróbować swoich sił może każdy, kto ma taką ochotę i zechce w radiową przygodę zainwestować swój czas i pracę – twierdzi Grażyna Bochenek.

– Ja studiuje elektrotechnikę – mówi Ksenia Burghardt. – Do „Godzin Rektorskich” trafiłam niedawno, bo w październiku 2016 roku. W studenckim radiu pojawiła się informacja, że można dołączyć do młodzieżowej redakcji Radia Rzeszów. Chciałam coś zmienić, czegoś więcej się nauczyć i teraz mam taką okazję.

Zupełnie inaczej w audycji pojawił się Karol Skrobacz. – Trafiłem tu jako stały słuchacz, który odpowiedział na październikowe zaproszenie do współtworzenia, a studiuje agronomię, a wcześniej ochronę środowiska.

Obecnie „Godziny Rektorskie” nadawane są raz w tygodniu, w czwartek od godz. 21.00. Jednak praca nad audycją trwa cały tydzień. Każde wydanie ma swój przewodni temat. Zazwyczaj są to sprawy ściśle dotyczące życia studenckiego, np. jak przetrwać

sesję, co czeka studentów, którzy wybrali studiowanie bez przekonania i w ogóle się nie angażują, albo jak dbać o studencki portfel. Zdarzają się też audycje poświęcone tym obszarom życia, które interesują studentów w czasie wolnym, ostatnio na przykład młodzi dziennikarze zastanawiali się, za co ludzie kochają skoki narciarskie i w czym tkwi tajemnica marynowanej papryki zjadanej przez Piotra Żyłę.

Na przestrzeni lat w „Młodym Radiu” i audycjach studenckich pojawiło się mnóstwo osób. Część z nich nadal jest obecna w mediach: Grażyna Bochenek, Ewa Koch, Andrzej Sroka, Bartek Skubisz czy Justyna Piekło. Tomasz Majka pracuje teraz w Informacyjnej Agencji Radiowej w Warszawie, Marcin Pawlak w TVP Rzeszów, Aleksandra Ciemierkiewicz i Artur Gaweł w Radiu Eska.

Praca w radiu wiąże się ze stresem, odpowiedzialnością i poświęceniem, jednak daje też dużo radości i przyjemności. To przygoda na całe życie. W tym zawodzie nie ma identycznego dnia i nie sposób się nudzić. Jeśli marzycie o pracy dziennikarza, to możecie sprawdzić się w audycji „Godziny Rektorskie”. Jeśli macie na siebie inny pomysł, a interesują was tematy które dotyczą młodych osób, to słuchajcie Polskiego Radia Rzeszów wieczorem w każdy czwartek. Warto.

Estera Matusiak

III rok, nowe media, reklama, kultura współczesna

MATRAGONA

KRÓTKIE PODSUMOWANIE DŁUGIEJ HISTORII



Dwadzieścia pięć lat na scenie, dwudziestu kilku muzyków w całej historii, cztery wydawnictwa, ponad siedemdziesiąt instrumentów z całego świata, niemal sto zagranicznych koncertów, kilkanaście warsztatów w Balnicy, wiele nagród oraz wyróżnień w Polsce i za granicą... Historia zespołu Orkiestra Jednej Góry Matragona wygląda imponująco.

Wszystko rozpoczęło się w 1992 roku, kiedy Maciej Harna zaprosił do współpracy młodych, zdolnych i ambitnych, aczkolwiek niepokornych muzyków amatorów. W tym pierwszym składzie przez kolejne dwa lata członkowie zespołu pracowali nad warsztatem, poznawali zasady muzyki i siebie nawzajem. Dwa lata później zagraли pierwszy koncert w Sanockim Domu Kultury, przyjęty przez widownię z dużym entuzjazmem.

Zachęceni tym faktem muzycy już nie odpuścili, podążając wybraną drogą, odnosząc sukcesy i zdobywając aprobatę świata muzyki. Pierwsze wydawnictwo – Budzenie góry – ukazało się na taśmie magnetofonowej w 1997 roku, przynosząc drugą nominację na ogólnopolskim konkursie fonograficznym „Folkowy Fonogram Roku” w Lublinie. Kilka miesięcy później Matragona zajęła I miejsce ex aequo z Dikandą w konkursie „Nowa Tradycja” organizowanym przez Polskie Radio. W tym samym roku zespół wystąpił na największym folkowym festiwalu w Polsce – Folk Fiesta. Fala sukcesów przyniosła kolejne albumy (Tańce zmierzchu, Trans silvaticus, Balnicki księżyc oraz udział w płycie – składance bieszczadzkiej kapeli Nowe Brzmienie Bieszczad) i występy również poza granicami kraju. Ostatni projekt, zatytułowany Anarti, nawiązuje do kultury Celtów zamieszkujących dawno temu tereny okolic Sanoka. Jest to też aktualny repertuar koncertowy zespołu.

Nazwa Orkiestry Jednej Góry Matragona wywodzi się od bieszczadzkiego szczytu

– Matragony. Powstała podczas pierwszych letnich warsztatów integracyjnych grupy zorganizowanych w Balnicy, miejscowości leżącej u podnóża tejże góry. Z miejscem tym zespół jest związany po dziś dzień, podtrzymując tradycję corocznych spotkań. Zresztą każdy, kto będzie tam choć raz, nie przejdzie obojętnie obok magii tego miejsca. Na warsztaty przyjechać może właściwie każdy. Jedyne ograniczenie to liczba miejsc oraz twardo ustalone ramy czasowe.

Mnogość charakterów, pełen przekrój wiekowy, ludzie z różnych subkultur, zawodowcy i amatorzy – ta różnorodność doskonale oddaje charakter twórczości OJG. W jednym utworze występują jednocześnie elektryczna gitara basowa, lutnia arabska, hiszpański cajón, tradycyjne skrzypce i brazylijskie berimbau. Są to połączenia, które nie występują w kulturach, skąd te instrumenty pochodzą. To samo dotyczy elementów wokalnych, gdzie łaciński tekst spotyka melodię inspirowaną kulturą celtycką.

Przez ćwierć wieku skład zespołu wielokrotnie ulegał zmianie, jednak koloryt muzyki się nie zmienił. Brzmienie Matragony tworzą multiinstrumentaliści poszukujący w muzyce uzewnętrznienia swoich emocji. Przez to nawet tak podstawowa kwestia, jak określenie stylu, w jakim się poruszają, stanowi nie lada wyzwanie. Niektórzy zaliczają go do world music, inni do aura folk... zdaje się, że kategoryzowanie w tym przypadku nie ma znaczenia. Dziś w branży muzycznej funkcjonuje nazwa

crossover, czyli połączenie kilku gatunków – być może to jest właściwy kierunek. Sami twórcy mówią o swojej muzyce, że to „ścieżka dźwiękowa do nieistniejącego filmu”. Zresztą zespół ma na koncie pracę nad muzyką do spektakli teatralnych czy filmów. Takie podejście daje swobodę tworzenia oraz ukróca ewentualne zarzuty „błędów w sztuce”, co pozytywnie wpływa na pracę nad materiałem. Obecnie Matragona jest w trakcie prac nad swoim piątym w karierze albumem.

Mimo iż część utworów Matragony w środowisku folkowym dorobiła się miana kultowych, zespół cały czas wprowadza nowe brzmienia, rozwiązania, nie poprzestając na jednej płaszczyźnie. Współpracuje z innymi artystami – plastykami, tancerzami, filmowcami. Można nazwać to permanentnym poszukiwaniem środków wyrazu artystycznego. Ciężko przez tak długi czas nie zaliczyć wzlotów i upadków, ale ciągłość trwania zespołu jest dowodem na zachowanie artystycznej tożsamości oraz potrzeby wspólnego funkcjonowania w świecie dźwięków.

W związku z jubileuszem 25-lecia swego istnienia Matragona planuje specjalny koncert w Sanoku. Czas i miejsce nie są jeszcze sprecyzowane, jednak pragniemy już teraz serdecznie na niego zaprosić.

*W imieniu zespołu,
Jakub Kowalewicz*

I rok, nowe media, reklama, kultura współczesna



KAYAH ZACZAROWAŁA SANOCZAN

„Wierzę w to, że każdy z nas ma w sobie ogromny pierwiastek miłości bezwarunkowej, i że prędzej czy później każdy z nas spotka tę drugą połówkę...” – wyznała Kayah tuż przed walentynkami.

Piotr Piegza: Powiedziała pani, kiedyś: „Always look on the bright side of life” (Zawsze patrz na jasną stronę życia). Czy to jest wciąż pani życiowe motto?

Kayah: To jest motto, którym się dzielę z innymi, mając nadzieję, że posłuchają i że ja, powtarzając je, posłucham. Ale nie zawsze widzę szklankę do połowy pełną...

PP: Wiele pani podróżuje, czy te podróże są też inspiracją dla muzyki, którą pani tworzy?

K: Inspiracją dla muzyki, inspiracją dla życia, inspiracją dla nauki języków obcych. Uwielbiam się przyglądać ludziom. Uwielbiam uczyć się od innym, życia, filozofii. Imponują mi wspaniałe temperamenty ludzi, którzy potrafią się cieszyć, chociaż sami nie mają zbyt wiele. I wtedy sobie myślę, jak my kalecy jesteśmy, ciągle narzekając, mając dach nad głową i co do gara włożyć. Byłoby naprawdę cudownie, gdybyśmy wszyscy mieli możliwość czerpania z innych kultur. Ale właściwie sama Polska jest tak przebogata, że gdybyśmy mieli ochotę zgłębić to, co się tutaj dzieje, bardzo dużo by nam to dało. Jechałam do was sześć godzin, mijałam po drodze przepiękne wioski. Bieszczady to jest w ogóle czad, ale trudne drogi bardzo.

PP: Podróże są inspiracją dla muzyki. A czy sama muzyka, według pani, potrafi zakopać doły między społeczeństwami, między nacjami, które ostatnio są dość głęboko wykopane?

K: Niestety, jesteśmy świadkami zjawiska, które miało miejsce w latach trzydziestych. Ja tylko mam nadzieję, że to nie jest zapowiedź lat czterdziestych, bo powinniśmy się uczyć z historii. Tak, ja uważam, że muzyka łączy, nie tylko pokolenia. Stąd też wiele razy już w swojej karierze współpracowałam z muzykami z różnych krajów, znajdując tę nić porozumienia i budowania, w pewnym sensie pokoju. Ja nie mówię tu tylko o Goranie Bregovicu, ale była przecież Cesaria Evora, izraelscy artyści. Ja wierzę w to, że muzyka jest absolutnie międzynarodalnym językiem. Co więcej, propagując jej różne nurty, oparte o różne tradycje, różne religie, też mam jakąś misję edukacyjną, bo nie tylko przybliżam korzenie i źródła tej muzyki, ale pokazuję, że wszyscy jesteśmy tacy, sami niezależnie od tego, skąd pochodzimy.

PP: Wspomniała pani o muzykach. Przez całą pani karierę przewinęło się wielu wybitnych muzyków. To jest chyba jakiś dar do dobierania sobie współtowarzyszy w muzyce.

K: Czasami to oni sobie mnie dobierali. Goran sam się do mnie zgłosił. Miałam też cudowną możliwość współpracowania ze wspaniałymi polskimi artystami. W tych początkowych latach, po mojej pierwszej płycie w 1987 roku, rzeczywiście miałam tzw. monopol na chórki i współtworzyłam. I to jest dla mnie ważne, że współtworzyłam. Brano mnie do studia jako

chórek, ale dawano mi zawsze wolną rękę do tego, żebym mogła kreować linie melodyczne, aranżować te moje wokalne popisy. Niczego mi nie narzucano i to jest fantastyczne, bo naprawdę ja się czułam takim jednym z wielu kół zębatych wielkiej maszyny. Jestem dumna z tego, powstały dziesiątki płyt z moim udziałem. To była dla mnie też cudowna lekcja pracy w studiu, z innymi artystami. Temperowania własnego ego, żeby nie świecić w pierwszej kolejności. Umiejętność stania na drugiej linii frontu jest bardzo ważna, myślę, że to cechuje naprawdę wielkich artystów. Myślę, że ci najwięksi potrafią tworzyć całość z innymi, a nie koniecznie się ścigać z nimi. Muzyka to nie jest sport, tu się nie da zważyć, zmierzyć. Muzyka ma poruszyć serce, jeżeli tak się dzieje, to rewelacja.

PP: Nie wiem, czy pani wie, ale właśnie tu w Sanockim Domu Kultury występował również Grzegorz Ciechowski z Republiką. Czyba łączyła was jakaś specjalna więź muzyczna?

K: Nie tylko muzyczna, miałam to szczęście, że Grzegorz otoczył mnie opieką. To dzięki niemu tak naprawdę zaczęłam zbierać piosenki na płytę Kamień. Powiedział mi kiedyś: „Kasia, uważam, że jesteś gotowa na solową karierę. Masz charyzmę, wiesz, co chcesz ludziom przekazać. Jesteś prawdziwa, masz prawdę” – i o tym nigdy nie zapominam, bo myślę, że to jest najważniejsze. Aczkolwiek są takie dni, że trzeba wyjść na scenę, a czuję się naprawdę podle. Mam czasem, jak każdy, problemy w życiu i generalnie chce mi się płakać, ale wiem, że ludzie zadali sobie ten trud, przyszli na koncert i mają prawo oczekiwać ode mnie wysokiej formy. Wychodząc na scenę, muszę zapomnieć, co się we mnie kotłuje. Na szczęście scena wyzwala w nas energię i daje siłę stawienia czoła wszystkim przeciwnościom.

PP: Za kilka minut koncert, zatem ostatnie tylko pytanie. Powiedziała pani kiedyś, że miłość jest dla pani powietrzem, a na wiosnę, życzy sobie pani właśnie miłości. Dużo tych serduszek na walentynki?

K: Mi tam by jedno wystarczyło (śmiech), ale różnie z tym bywa, sam pan wie. Miłość jest oczywiście ogromną siłą, jest czymś, co napędza, czymś, o co warto walczyć, o czym warto śpiewać, co warto zawsze ludziom pokazywać, bo ona wynagradza nam wszystko. Ale zdarza się też tak, że odczuwamy jej ogromny brak, że chodzimy poranieni. Wierzę w to, że każdy z nas ma w sobie ogromny pierwiastek miłości bezwarunkowej i że prędzej czy później każdy z nas spotka tę drugą połówkę. Ponoć przychodząc jako dusza na ten świat składamy się z pierwiastka kobiecego i męskiego i być może naszym najważniejszym, naszym jedynym celem w życiu jest odnaleźć tę drugą połówkę. Życzę wszystkim właśnie tego, nie tylko w walentynki.

PP: Dziękuję bardzo za życzenia i rozmowę.

OD POCZĄTKU DO KOŃCA

Przy tym zajęciu niezbędny jest drapieźny instynkt łowcy oraz cierpliwość przysłowiowej kropli drążącej skałę. Nie zawsze wiesz, co upolujesz, ale pewne jest jedno: pierwsza lepsza zdobycz cię nie zadowoli. Szukasz, tropisz, namierzasz. Patrzysz, dotykasz, wąchasz. Chwile zwątpienia nie mogą zbić cię z tropu, bo doskonale wiesz, jakie to uczucie, gdy w końcu wpadnie ci w ręce. Już nie możesz doczekać się momentu, gdy położysz ją na talerzu i rozpoczniesz ucztę.

Dokładnie 140 lat temu amerykański geniusz i wynalazca – Thomas Alva Edison – zademonstrował urządzenie, które nazwał fonografem. W ten oto sposób została zapoczątkowana era zapisu dźwięku oraz jego odtwarzania z nośników. Wówczas nośnikiem był wałek owinięty cynową folią, na której materiał dźwiękowy utrwalany był za pomocą igły rzeźbiącej rowki. Należy dodać, że taki wałek był większy od dzisiejszych smartfonów, a mieścił na swojej powierzchni w porywach do czterech minut dźwięku.

Cóż, reszta jest historią – Emil Berliner, niemiecki wynalazca i przemysłowiec, stworzył płytę gramofonową, w ślad za czym pojawiły się dobrze dziś znane gramofony; masy szelakowe czy ebonitowe, których pierwotnie używano do tłoczenia płyt, zostały przez korporację fonograficzną RCA zastąpione finalnie polichlorkiem winylu; amerykańska wytwórnia płytowa Columbia w 1948 roku wprowadziła format płyty o zapisie drobnoworkowym, który stał się standardem branży fonograficznej; nastąpił rozkwit, złote lata i ostatecznie upadek

czarnej płyty postępujący stopniowo od początku ósmej dekady XX wieku i mający swój finał w latach dziewięćdziesiątych.

Historia winylem się toczy

Powodem przeniesienia czarnych płyt z salonów na strychy lub – o zgrozo! – śmietniki, było nadejście nowego, zero-jedynkowego powiewu skwantowanego powietrza epoki cyfrowej i bezpośrednio wynikające z tego rozpowszechnienie nowego nośnika audio – płyty Compact Disc. „Kompaktowa” to doskonały przymiotnik, gdy weźmiemy pod uwagę, że typowa płyta CD ma 12 centymetrów średnicy, winyl zaś 12 cali. Matematyka w tym porównaniu jest nieubłagana jeszcze z innego powodu – na płycie kompaktowej względem jej starszej siostry mieści się o ponad 20 minut zapisu dźwiękowego więcej i to bez konieczności przewracania płyty na drugą stronę. Przemysł fonograficzny choćby ze względów czysto ekonomicznych musiał pokończyć rozwiązanie.

Jednakże, czy „więcej i wygodniej” znaczy

„lepiej”? Czy kompaktowość nie odbywa się kosztem innych walorów? Czy technologia cyfrowa w efekcie nie przeinacza sensu i nie wypacza duszy pierwotnych rozwiązań analogowych? Możemy sądzić, że obecnie pliki mp3, serwis youtube czy streaming muzyki w internetowych aplikacjach to dar z niebios i najlepsza z możliwych form zapoznawania się z muzyką. Analogicznie odbierać możemy ułatwienia w życiu codziennym wynikające z chatów na portalach społecznościowych, e-booków, fotografii cyfrowej czy samochodów, które już niebawem będą samodzielnie dowozić nas do miejsca docelowego bez choćby jednego dotknięcia kierownicy.

Jest to oczywiście doskonale racjonalne podejście, ale pojawia się w tym kontekście palące pytanie: skąd w nas wobec tego taka nieracjonalna fascynacja i chęć powrotu do tego, co już doskonale poznane i wyeksploatowane? Bo dziś już z pełnym przekonaniem i bez przekory można odtrąbić triumfalny powrót płyty analogowej, której od dawna już nie dało się uświadczyc powszechnie w polskich domach, a co

dopiero w sieci dobrze znanych supermarketów spożywczych.

Konflikt percepcji

Główną różnicą między sygnałem analogowym, będącym – w dużym skrócie – stałą transmisją prądu o zmiennych wartościach, dzięki którym możliwe jest odwzorowanie przebiegu zmian parametrów fizycznych (prędkość akustyczna, ciśnienie) a sygnałem cyfrowym są... cyfry, a dokładniej rzecz ujmując – proces kwantyzacji. Kwantyzacja to nadawanie próbkom sygnału analogowego konkretnych wartości liczbowych, co w efekcie prowadzi do uzyskania binarnego (czyli zero-jedynkowego) kodu przedstawionego w bitach. Tym przerażająco brzmiącym dla niejednego humanisty procesem zajmują się urządzenia zwane przetwornikami analogowo-cyfrowymi. Finalnie otrzymujemy sygnał, który nie zmienia się płynnie, lecz skokowo, według określonej skali dokładności odwzorowania. Obrazowo rzecz ujmując – analogowa transmisja danych na wykresie wygląda jak „fala”, a cyfrowa jak „schodki”, co prowadzi do następującej konkluzji: kwantyzacja sygnału analogowego może uprościć jego zapis, uczynić mniej podatnym na zakłócenia, ale nie jest w stanie go idealnie odwzorować.

Liczne badania zgodnie potwierdzają tezę, że różnica między brzmieniem analogowym a jego cyfrowym odpowiednikiem jest niewykrywalna przez ludzkie ucho. Mimo tego, wielu świeżo nawróconych na winyl neofitów, melomanów i wszelakiej maści audiofilów zarzeka się na najwyższe w ich życiu wartości

(czyli najczęściej pokaźne kolekcje unikatowych wydań), że różnica jest i to diametralna, co tłumaczą tym, że „cyfra” brzmi chłodno, a „analog” jest niemal mistycznym doświadczeniem dotyku ciepła i doskonałości.

Po drugiej stronie barykady znajdują się, rzecz jasna, fani muzyki z kompaktów, którzy w odpowiedzi na te argumenty, czule pukają się w głowę i eksponują przy tym swoje wzmacniacze lampowe kosztujące nierzadko tysiące złotych. Obu zwaśnionych stron nie pojmie z kolei pokolenie odtwarzaczy mp3 i aplikacji streamingowych. Tak więc, w tymże konflikcie, który nie zostanie zapewne rozwiązany do końca istnienia

ludzkości, wskazany jest umiar i pogoda ducha. Między innymi dlatego, że słuchanie płyty analogowej posiada przede wszystkim inne walory.

Rytuał igły i talerza

Fakt trzymania w ręku pięknie zdobionego wydania albumu mającego więcej lat niż my sami oraz obserwowanie obracającego się niepiesznie krążka na talerzu gramofonu ma w sobie coś z rytuału. Musimy oderwać się od biegu spraw codziennych, zatrzymać się i wprawić w ruch płytę, wcześniej wyjmując ją z lekko zakurzonej folii i nastawiając delikatnie ramię gramofonu nad jej powierzchnię. Następnie siadamy (kładziemy się) w samotności (z bliskimi nam osobami) i oddajemy się wyłącznie muzyce płynącej z głośnika, spoglądając może przy tym na okładkę, studiując jej zawartość, oceniając zdjęcia i grafikę.

Jak to możliwe, że za pomocą igły, która zawsze bezbłędnie odnajduje drogę od samej krawędzi do środka płyty, możemy jednorazowo na niecałą godzinę przenieść się do czasów, w których królowały

posępne, ale także piękne

tony trąbki

Davisa

czy też do

epoki szalonego

rozkwitu funku i disco;

w których „Czwórka

z Liverpoolu” była na ustach

i w uszach wszystkich; w których

tegoroczny noblista śpiewał o pukaniu

do nieba bram? Dlaczego szumi i trzaski

podczas odsłuchiwania „Ciemnej Strony

Książycy” czy też gitarowej wirtuozerii

Hendrixa, dodają jakiejś szczególnej głębi i uroku, zamiast powodować irytację i grymas na twarzy? Skąd ta czułość i skrupulatność w równym układaniu kolejnych albumów na coraz bardziej uginających się półkach?

Pytania te, pozostające bez jednoznacznej odpowiedzi i trapiące wielu fascynatów czarnych krążków, budują pewną więź. Wiąż zarówno z przedmiotem, jak

i z niewidzialną, lecz słyszalną wartością, która jest w nim zaklęta. Wynikiem tego jest chęć posiadania choćby kawałka rzeczywistości, gdzie nie będą nas atakować wiadomości z czatów, kuszący niekończące się hiperlinki, gdzie będzie można wreszcie po ludzku odpocząć bez udziału ciekłokrystalicznych ekranów

i kakofonii

reklam. Płyt winylo-

wych się nie „ściąga”, nie „scrol-

luje”, nie wrzuca się ich na niekończące się

„playlisty” – analogów się słucha. Spokojnie,

w skupieniu, bez pośpiechu. Od początku do

końca. Serdecznie polecam.

Bartłomiej Abram

1 rok, nowe media, reklama, kultura współczesna

www.pwsz-sanok.edu.pl/obsesja





PAŃSTWOWA WYŻSZA
SZKOŁA ZAWODOWA
im. Jana Grodka w Sanoku

EDUKACJA ARTYSTYCZNA w zakresie sztuki muzycznej
Nowe media, REKLAMA, kultura współczesna
Pedagogika EKONOMIA Praca socjalna
Praca socjalna z elementami organizacji i zarządzania
RATOWNICTWO medyczne **PIELĘGNIARSTWO**
M E C H A N I K A I B U D O W A M A S Z Y N
Gospodarka w ekosystemach rolnych i **LEŚNYCH**
Gospodarka zasobami na obszarach WIEJSKICH
GASTRONOMIA z dietetyką* **ROLNICTWO**

SanOK

najlepszy kierunek na

studia

STUDIA
STACJONARNE
ul. Mickiewicza 21
bud. A, pok. 108
tel.: 13 4655954
STUDIA
NIESTACJONARNE
ul. Mickiewicza 21
bud. A, pok. 107
tel.: 134655967

www.pwsz-sanok.edu.pl

MAGISTERSKIE INŻYNIERSKIE LICENCJACKIE

*kierunek zostanie uruchomiony po wydaniu zgody przez MNiSW